

TROPIE

Rok II. **Nr. 7—8.**

Zamiast hasła dnia dzisiejszego.

Otrzymaliśmy następujący list od naszych najmłodszych czytelników, uczniów V klasy szkoły powszechnej w Bykowinie:

„Kochana Redakcjo!

Z wielką niecierpliwością czekamy dnia, kiedy listonosz zapuka do V klasy i przyniesie pismo „Na Tropie".

Cieszymy się bardzo, bo Pani czyta nam ciekawe powiastki, wiersze i inne artykuły, a najlepiej lubimy o Antku Cwaniaku.

Chcemy napisać Redakcji, że cała V klasa w Bykowinie czyta „Na Tropie" i każde z nas płaci co miesiąc 1 grosz.

Potem Bista pisze czek do P. K. O. i odnosi na pocztę do Nowej Wsi, uzbierane przez nas 50 gr. i czekamy na następny numer „Na Tropie".

Kończąc, życzymy Kochanej Redakcji, aby pismo „Na Tropie" było znane w całej Polsce i aby wszystkie dzieci je czytały.

Słomiana Monika *Labusówna Marja* *i Jerzy Bista*, ucz. V klasy w Bykowinie.

Kochana V-ta klaso z Bykowiny!

Jakżeż miły jest Wasz list sercu redaktora i wszystkich współpracowników — jak dodaje chęci do dalszej pracy. Pomyślcie wszyscy czytelnicy — pięćdziesięcioro dzieci z małej robotniczej miejscowości, jaką jest Bykowina koło Katowic, umie się zdobyć na wspólny wysiłek i groszowemi składkami zdobywać co miesiąc kwotę potrzebną na zakupienie numeru „Na Tropie". Umie się zorganizować dla wspólnego celu i cel ten osiągnąć.

Gdybyż tak więcej klas w Polsce, więcej młodzieży chciało wyjść ze swej biernej obojętności i wspólnemi siłami przy wysiłku wszystkich dla całości dążyć do wspólnego celu, może i nasze pismo ukazywałoby się regularnie i mali gorliwi czytelnicy z Bykowiny nie potrzebowaliby miesiącami czekać na nową opowieść „O Antku Cwaniaku".

Czy wiecie?

— Znany poeta Leopold Staff, laureat nagrody państwowej w r. 1927, otrzymał nagrodę literacką m. Lwowa.

— W Grodnie odsłonięto pomnik Elizy Orzeszkowej. Uroczystości rozpoczęły się wycieczką do odległej o 40 klm. wsi, gdzie znajduje się grób Jana i Cecylji, opisany w „Nad Niemnem".

— 12 ub. m. rozpoczął się doroczny bieg sztafetowy dookoła Polski Korpusu Ochrony Pogranicza i Straży Granicznej. Bieg rozpoczął się w Lipówce na pograniczu Prus Wschodnich w kierunku wschodnim i zachodnim. Skrzyżowanie pałeczek nastąpiło na Podkarpaciu.

— Pan Prezydent Rzplitej przyjął protektorat nad wystawą komunikacyjno-turystyczną, która odbędzie się w przyszłym roku w Poznaniu w związku z światowym kongresem towarzystw i przedsiębiorstw komunikacyjnych.

— W Staruni (pow. Bohorodczany) odkopano w kopalni wosku ziemnego całego mamuta.

— W Krakowie wprowadzono na klinice chirurgicznej stację transfuzji krwi i rejestruje się osoby, gotowe w razie potrzeby oddać krew dla chorych.

— W Ugandzie w Afryce otwarto pierwszy uniwersytet murzyński z wykładami w języku Zulusów.

— Postanowieniem sądu królewskiego dopuszczono w Anglji wszystkie kobiety do urzędów publicznych.

— Z Murmańska (płn. Rosja) przewieziono do Stanów Zjednoczonych zwłoki 86 żołnierzy amerykańskich, poległych w latach 1918—1919. Wśród zwłok znajduje się znaczna liczba Polaków.

— Lotnicy portugalscy stawiają na miejscu katastrofy samolotu „Marszałek Piłsudski", na wyspie Graciozie, krzyż ze szczątków samolotu ku czci ś. p. Majora Idzikowskiego.

— Między Katowicami a Król. Hutą na Rawie zbudowano oczyszczalnię, w której oczyszcza się wodę, zabrudzoną odpływami z zakładów przemysłowych. Powstaną jeszcze dwie tego rodzaju oczyszczalnie: w Zawodziu i pod Mysłowicami.

— W Gdyni powstanie montażowa fabryka samochodów Forda.

— W Międzynarodowem Biurze Pracy zestawiono dane o nowoczesnej wędrówce narodów. W obrębie Europy w latach 1920—1924 opuściło swe kraje 2.607.631 osób, a powróciło do nich 1.482.517. Za morze wyjechało 3.805.810 osób, z tego większość powraca po jakimś czasie do swych państw, około 1.200.000 pozostaje jednakże na stałe w swych nowych ojczyznach. Przed wojną wychodźctwo zamorskie było intensywniejsze, zmalało znacznie wskutek ograniczeń, wprowadzonych przez Stany Zjednoczone.

— W państwie papieskiem istnieje już urząd pocztowy, wykańcza się dworzec, z placu św. Piotra usunięto tramwaje, powstanie też bank watykański.

— Ojciec św. powołał do życia „Seminarjum Russicum" w Rzymie, gdzie kształcić się będą kapłani, pragnący poświęcić się misjom w Rosji. Rektorem został mianowany jezuita O. Javork, rodem Słowak.

— Dzwonienie na Anioł Pański wprowadził papież Urban II. na intencję krzyżowców. W Polsce istnieje zwyczaj uderzania po dzwonieniu wieczornem jeszcze 9 razy w dzwon w odstępach trwających Zdrowaś Marji. Twierdzą jedni, że to dzwoni się za poległych pod Warną, inni że za poległych pod Grunwaldem.

— Słynny lotnik sir Alan Cobham pobił rekord osób przewiezionych przez siebie samolotem. W ciągu 1919 r. przewiózł ponad 10.000 osób. W ciągu ub. lata odbył on pięciomiesięczną podróż okrężną po Anglji i Szkocji i w setkach wsi i miasteczek wygłaszał popularne wykłady o lotnictwie, ilustrowane wycieczkami powietrznemi z dziatwą szkolną. W ten sposób przeleciał 106.194 klm. i przewiózł 10.000 chłopców i dziewcząt. Twierdzi przytem, że dziewczęta przeważnie zachowywały się w samolocie rezolutniej niż chłopcy.

— W Nowym Jorku wrzucono do morza 6000 starych samochodów, porzuconych przez właścicieli na ulicach, jako nienadających się do użytku. W ten sposób ułatwiono sobie regulację brzegu morskiego.

— W Polsce istnieje 12 klubów lotniczych: Warszawa i Poznań po 2, oraz Biała Podl., Gdańsk, Katowice, Kraków, Lublin, Lwów, Łódź, Wilno.

— Najwspanialszym dokumentem pracy w nowej Polsce to port gdyński. W roku 1928 tonaż jego przekroczył 2 miljony tonn, tego roku dojdzie do czterech. Porównajcie z tem port gdański, który przed wojną nie osiągnął półtora miljona tonn rocznie.

— Czy wiecie coś o kolonjach polskich w Bośni? Koło Banjaluki znajduje się szereg wsi polskich (Nw. Martynie, Rakowiec i inne). Liczą one około 10.000 Polaków, osiedlonych tu przez rząd austrjacki. Wybijają się one z pośród prawosławnych wsi serbskich swą kulturą.

— W powiecie kostopolskim i rówieńskim na Wołyniu, posiadających wspaniałe pokłady bazaltu, odkryto ostatnio gniazda miedzi, kwarcytu, rudy manganowej.

— Dla młodzieży szkolnej istnieje w Niemczech 2.660 schronisk i letnisk, nic też dziwnego, że ruch turystyczny szybko się rozwija.

Numer podwójny — cena 1 zł. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.
Rok II. Katowice, 25 listopada 1929. Nr. 7—8.

NA TROPIE

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

LISTOPAD.

Najsmutniejszy miesiąc roku.

Liście opadają z drzew, na grobach więdną ostatnie astry.

W tym miesiącu rozpamiętywamy przeszłość.

I smutny był listopad w czasach niewoli. Rozpamiętywaliśmy w nim grozę wypadków powstania listopadowego, wielkiej, narodowej klęski. Z zapału i poświęcenia wielkich wodzów powstania, Dwernickich, Bemów, czerpaliśmy moc przetrwania w szarych czasach niewoli, czerpaliśmy podnietę do dalszej walki, i pewność, że właśnie nasze pokolenie, wywalczy wolność.

Aż nadszedł ten dzień, dzień „krwi i chwały".

Starsi z nas pamiętają jeszcze dobrze ten smutny, ponury, a jakże przytem wszystkiem radosny listopad, jedenaście lat temu.

Od kilku miesięcy, przez całą jesień pamiętnego roku 1918 wisiało coś w powietrzu, czaiło się coś w sinych mgłach jesiennych, jakaś wieść nad miarę radosna.

Aż wreszcie gruchła wieść, że na Zachodzie pękł żelazny łańcuch armij niemieckich, że Bulgarja zawiera pokój, że Niemcy, Austrja i ich sprzymierzeńcy, zdali się na łaskę i niełaskę zwycięzców.

W dniach szarego listopada, ustroiło się niebo nad naszemi domami niezliczoną ilością biało-czerwonych sztandarów, chorągwi, flag. Na piersiach wszystkich zdolnych do walki rodaków wykwitły, jak spóźnione, jesienne kwiaty, biało-czerwone kokardy.

Błękitne pułki Hallera, oddawna walczące po stronie koalicji o Polskę, gotowały się do przyjazdu do Polski z gościnnej ziemi francuskiej. W Polsce tymczasem lud chwycił za broń. Dzieci, uczniowie, terminatorzy, robotnicy, studenci, kto tylko mógł, rzucili się na wroga, i rozbrajali garnizony pruskie i austrjackie.

Niedługo rozgorzały walki z Ukraińcami we Lwowie, z Niemcami w Wielkopolsce i na Śląsku, jak długą polska granica, musieliśmy zdobywać ją mieczem w wojennym trudzie, lub zdobywać podstępnie przez wroga zagarniętą.

W Warszawie powstał pierwszy, od czasu powstania listopadowego wolny rząd polski, nie powołany ręką obcych, lecz wywodzący się z silnej chęci i woli do życia, do bytu prawno-państwowego samego narodu polskiego, Rząd, widomy znak władzy i majestatu Rzeczypospolitej, mający ustalić w jej granicach nowy porządek.

Ale jedenaście lat temu, o wszystko to, co jest dzisiaj dla nas chlebem powszednim, trzeba było dopiero walczyć. Po długiej i ciężkiej wojnie, która szalała cztery lata wzdłuż i wszerz całej ziemi polskiej, Ojczyzna nasza wynędzniała, bez żywności przedstawiała więcej niż smutny widok. Nie dość na tem. Ze wschodnich rubieży ustępowały armje niemieckie, a za niemi zalewała nasze kresy wschodnie czerń bolszewicka. Mimoto jednak pokoleniu, które przeżyło wielką wojnę, udało się pokonać wszystkie trudności i zbudować ogromne dzieło — fundament pod powstające z niewoli Państwo.

W zeszłym roku poraz pierwszy święciliśmy uroczyście rocznicę dziesięcioletnią powstania naszego Państwa. Dziesięć lat! tak niewiele, a jednak jak dużo, jak ogromnie wiele zmieniło się przez ten czas na ziemiach polskich. Odbudowano przemysł, rolnictwo, rękodzieło. Tam, gdzie podczas wojny, na szerokich rozłogach śmierć siała zniszczenie, kołyszą się obecnie życiodajne kłosy zbóż.

Na uczczenie polskiego wysiłku i polskiej pracy urządziliśmy, niedawno zamkniętą, Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu. Ona była sprawdzianem naszych prac i naszych wysiłków. Ona zilustrowała nam wszystkim radosny wysiłek twórczości. Zdobywszy niepodległość, wzięliśmy na siebie obowiązek wysoko utrzymywać jej sztandar wśród innych narodów.

Obowiązek ten spełniamy jako całość, i spełnia go każdy na tej placówce, którą mu powierzono.

Wielkość Polski — to nasz cel. Stworzyć z Polski mocarstwo — to nasz obowiązek.

Smutny listopad z czasów niewoli był miesiącem bohaterów, miesiącem, w którym obchodziliśmy rocznicę naszej narodowej klęski.

Radosny listopad w wolnej Polsce jest miesiącem oswobodzenia, będziemy w nim jednak zawsze obliczać to, cośmy osiągnęli w czasie całego roku, będziemy robić, jakgdyby rachunek z pracy dokonanej, a każdą pracę naszą zapiszemy na dobro innych bohaterów: szarych, niepozornych pracowników dnia codziennego, którzy w swym nieustającym trudzie powszedniej pracy, wykuwają wielkość i potęgę naszej Ojczyzny.

Kazimierz Pułaski — bohater Polski i Ameryki.

Któż nie zna tego nazwiska: Kazimierz Pułaski — konfederat barski!? Bohater dwu światów, dwóch półkul ziemi. Obie przesiąknięte jego krwią i obie czczą jego pamięć jako jednego z największych. A nie był to człowiek, któryby walczył w szeregach konfederackich i potem w armji amerykańskiej dla osobistego interesu lub z myślą o czekających go zaszczytach. Umiłował on całą swą szlachetną duszą — wolność — a ponieważ do wolności była wtedy dla Polaka droga tylko przez bohaterstwo — więc był bohaterem. A zaszczyty, których doznawał i miłość którą się cieszył u ludzi, zawdzięczał tylko dziwnemu urokowi wewnętrznemu swej duszy, swej bezinteresowności i umiłowaniu tego, co szlachetne, dobre, idealne, i co mężne, odważne i gotowe do poświęceń się. I cieszył się przyjaźnią niebyle czyją: Jerzego Washyngtona, twórcy Stanów Zjednoczonych Ameryki Póln. i wielkiego Franklina.

Życie Kazimierza Pułaskiego to jedno pasmo zmagania się z wrogiem. Bo naprzód, w młodych latach (urodził się około roku 1747) otrzymawszy przy podziale dóbr rodzinnych wieś Zuzelnicę na Podolu, wstąpił jako starosta zuzelnicki do konfederacji barskiej. Jego szlachetny charakter i wrodzone męstwo kazało mu chylącej się ku upadkowi Ojczyźnie, śpieszyć z pomocą. I rzeczywiście imię jego zespolone bardzo ściśle z całemi dziejami konfederacji barskiej. Niema potyczki, niema bitwy, w którejby nie brał udziału. A wszędzie jaśnieje jego męstwo, odwaga doprowadzona wprost do szaleństwa. Widzimy go walczącego pod Berdyczowem, który ostatecznie ulega przewadze wroga, następnie 20 czerwca 1768 roku broni Baru, lecz i tu musiał być świadkiem bolesnej dla siebie przegranej. Walczy pod okopami Św. Trójcy, pod Lwowem, na Litwie. W roku 1771 ocala swem męstwem Częstochowę. Lecz, gdy konfederaci powzięli zamiar porwania króla (co opisuje Rzewuski w swej powieści „Listopad"), i wykonali go, Pułaski posądzony o współudział, kiedy upadła Konfederacja, nie miał już nic do roboty na swej własnej ziemi i przez Turcję i Francję wyjechał do Ameryki.

Stanął tu w roku 1777. Dobiegała właśnie końca wojna angielsko-amerykańska. Dzięki poparciu Washyngtona i Franklina, a opromieniony już chwałą pozyskaną w czasie swych walk w Polsce, mający ponadto miano gorącego republikanina, w 15 dni po przybyciu do Ameryki został generałem kawalerji, i dnia 11 września 1777 roku wziął udział, po raz pierwszy na ziemi amerykańskiej, w bitwie pod Brandywine. Dokazywał tam cudów waleczności. Żołnierze, którzy pod jego rozkazami walczyli — pokochali swego generała odrazu — nie mając słów podziwu dla jego męstwa. Jeden z nich opisuje *), że gdy losy walki pod Brandywine przechylały się na stronę Anglików,

„Pułaski skoczył na prawo, i stał tam w strzemionach przez chwilę, badając położenie. Nieprzyjaciel tymczasem podwoił swe wysiłki. Wreszcie Pułaski dojrzał dobrą sposobność i dał znak, poczem krzyknąwszy głosem, który przeszedł nas do szpiku kości, wsparł konia ostrogami, i runął naprzód z takim strasznym i szaleńczym rozpędem, żeśmy go zaledwie w 3 minuty dognali. Czego on chciał? Boże święty! ręka jak u tonącego zadrżała mi konwulsyjnie i mimowoli ściągnąłem cugle konia. Pędziliśmy wprost na las angielskich bagnetów. Pułaski był pierwszym. A któżby za nim nie poszedł?... Lecieliśmy za nim z takim huraganem ognia, że przewierciliśmy nawskróś szeregi Anglików. Z lewej i prawej strony zamykały nas ściany ognia, ale przed sobą mieliśmy pustkę. Krew mi w żyłach kipi dotychczas, gdy wspomnę ten straszny atak i zniszczenie. Ale Pułaski przełamawszy raz mur bagnetów, zrozumiał, że nie wolno mu się dać zamknąć. Pędził więc z zamiarem powrotu. Nie udało się jednak. Ściany angielskie zawarły się — i mieliśmy tylko jedno wyjście — walczyć. Nieustraszony Polak szalał poprostu. Był w swoim żywiole. Pamiętam dobrze jak przebiegł koło mnie pokryty potem i kurzem, jadąc dosłownie na ostrzach angielskich bagnetów. Nieprzyjaciel naciskał coraz bardziej. Wtem nadeszła pomoc. Anglicy zaczęli ustępować. Lecz Pułaski nie dał za wygraną. Runął ku nim — a my za nim — z takim impetem, że sam jego widok sprawił, że Anglicy pierzchnęli".

W czasie tej bitwy poznał się Pułaski z Francuzem Pawłem Beutalou, który został przyjacielem Pułaskiego i nie opuszczał go aż do jego śmierci.

O zręczności Pułaskiego jako jeźdźca opowiadano sobie dziwy. Potrafił w pełnym galopie zeskoczyć z konia, porwać z ziemi umyślnie rzuconą czapkę, i z powrotem na niego wskoczyć. Amerykanie głowy sobie rozbijali, usiłując go w tem naśladować.

Kochali go tam wszyscy, choć byli i tacy — zwłaszcza amerykańscy koledzy — którzy na jego sławę patrzyli krzywo. A na miłość zasługiwał w zupełności. Nie mając już własnej ojczyzny, oddał się sercem i duszą sprawom Ameryki — chcąc walczyć za wolność. Hołd jaki mu się dziś oddaje na ziemi amerykańskiej — jest w zupełności zasłużony. Śmierć zaskoczyła go pod Savannah. Padł 9 października w czasie ataku, pędząc na czele kawalerji z okrzykiem: „Forwarts brothers! Forwarts!" Naprzód bracia! naprzód! W chwili upadku byli przy nim Beutalou, Maurycy Beniowski, konfederat barski, i Maciej Rogowski, z którym przybył do Ameryki. Po nieudałym szturmie, został przeniesiony na pokład okrętu „Wasp", który płynął do Charlestonu. W chwili gdy „Wasp" wypływał z rzeki Savannah na morze, Pułaski zakończył życie. Gdzie go pochowano, niewiadomo dokładnie. Jedni twierdzą, że na morzu, inni, że w mieście i porcie Charleston. Pierwszym pomnikiem Pułaskiego na ziemi amerykańskiej był pomnik w Savannah. Pamięć jego tak w Polsce jak i w Ameryce trwać będzie zawsze. Był to bowiem człowiek bez skazy, kochający sławę i wolność ponad swe życie, które też wierny swym ideałom, za wolność położył. Był bohaterem Polski i Ameryki. Polska więc i Ameryka ma do niego prawo. Polska chlubić się może tem, że był Polakiem, Ameryka, — że za jej wolność walczył — i obrawszy ją za swą drugą Ojczyznę, jej swe młode życie poświęcił.

Lech Ziołkowski.

*) Opowiadanie to znajduje się w rocznikach „Niles' Register" Baltimore 1839.

— *Nie zachowuj milczenia tam, gdzie możesz stanąć w cudzej obronie.*

— *Nie spodziewaj się szczęścia tam, gdzie go pozbawiasz drugich.*

— *Nie mów nigdy, że świat jest zły, nie zapytawszy siebie, czy mu w tem przeszkadzasz, czy też pomagasz stać się lepszym.*

A. KAMIŃSKI.

Miasto namiotów.

Zlot skończył się. Rozbijanie obozów trwało trzy dni, potem ośm dni przeszło na zawodach, uroczystościach, odwiedzinach, obozowaniu. I ostatnie dwa dni — likwidacja.

Jeszcze w oczach i sercach mamy tysiące zlotowych obrazów. Do mózgu wciąż tłoczą się setki myśli i spostrzeżeń. I w natłoku świeżych wrażeń nie wiadomo wprost o czem pisać. Ponieważ jednak pisać trzeba — od tego są pisma — skupię rój myśli w jedno ognisko i przynajmniej najważniejsze momenty wywlokę na światło dzienne.

Zlot był

POTĘGĄ!

Gdy szedłeś od miasta na Śródkę — gdzie rozbity był obóz — kamienice zasłaniały obóz. Nawet będąc przy katedrze nie spostrzegałeś żadnego wyraźnego śladu obozu. Trzy minuty pieszej drogi od katedry przyprowadzało



Widok ogólny obozu zlotowego.

cię nad wał kolejowy, na który wspinałeś się wolno, by stanąwszy u szczytu — oniemieć. Tego, coś ujrzał — nie przypuszczałeś w najśmielszych marzeniach.

U stóp wału rozpoczynało się miasto: ogromny, płócienny gród. Jak okiem sięgnąć na olbrzymich błoniach namioty, namioty, namioty. Wzdłuż regularnych alej, ulic i uliczek ciągnęło się setki wielkich, zielonych hangarów francuskich, podłużnych, żółtych amerykańskich baraków, zgrabnych bronzowych polskiego wyrobu dziesięcio osobowych namiotów. Namioty, namioty... Tam, hen — cała chorągiew mieszka w małych, dwuosobowych rosyjskich namiocikach, ówdzie widać wspaniałe kanadyjskie wigwamy, tam eleganckie austrjackie na żelaznych rusztowaniach namioty, gdzieindziej dziesiątki białych i szarych płócien szytych i impregnowanych chytremi sposobami przez pomysłowe drużyny z Przasnysza, Sokolowy, Trąbki etc. etc. I jak barwne plamy na jednostajnem tle rzucają się w oczy chałupy wiejskie pobudowane przez hufiec łomżyński, olbrzymie szałasy z trzciny, wzniesione przez sławną drużynę ursynowską, szałasiki, szopy, składy...

Miasto z namiotów nie ma stłoczonych domów. Składa się raczej z setek willi, gdyż każda drużyna dostała spory szmat łąki, który ogrodziwszy pomysłowemi płotkami, zabudowała kuchniami, kapliczkami, piwnicami, świetlicami. Powznosiła maszty, poznaczyła boiska sportowe, pobudowała stoły w ziemi, urządziła ogniska. Barwnie, pstro, na pozór niejednolicie, lecz w istocie dziwnie harmonijnie i składnie biegną wzdłuż ulic te samodzielne obozowiska drużyn.

Na ziemi olbrzymie miasto namiotów. Lecz oczy porywa inny obraz, inne piękno: maszty. Ze wszystkich obozów drużyn strzeliły w niebo setki wysmukłych, wysokich na piętnaście, dwadzieścia metrów słupów masztowych i zaroiły się u swych wierzchołków trzepocącymi na wietrze sztandarami. Nerwowo i niespokojnie furkocą na ostrym wietrze, idącym od Warty — chorągwie, wiją się i drżą umocowane tuż pod niemi chorągiewki zastępów, bandery, flagi drużyn zagranicznych, chorągiewki polskie, tysiące niespokojnych plam, drżących na przeczystym błękicie nieba¹).

A od ziemi w górę wąskiemi strumieniami unoszą się z setek kuchen obozowych dymy, by za chwilę być rozszarpanemi i zgniecionemi przez wiatr. Gdzieniegdzie wznoszą się wielkie budowle wież cywilizacyjnych, rusztowań, zaś między namiotami i na drogach pełno mrówek, małych golasów, ubranych tylko w spodenki harcerskie, których opalone na bronz ciała i roześmiane twarze migają, plączą się, tłoczą we wszystkich kierunkach.

Tak! miasto z namiotów było potęgą, mieszkało w niem siedm tysięcy ludzi, to jest daleko więcej niż w różnych Serockach, Zegrzach, Piasecznach. Miasto z namiotów miało oświetlenie elektryczne, miało przeprowadzone wodociągi, przecinała je sieć linij telefonicznych, obsiadły je sklepy i sklepiki, warsztaty rzemieślnicze, poczta, ambulans, cukiernia, świetlice. Harcerstwo może być dumne z takiej manifestacji swej potęgi.

Jest jeszcze druga cecha Zlotu, która imponuje. — Mianowicie

SPRAWNOŚĆ ORGANIZACYJNA,

boć przecie wybudować w ciągu czterdziestu ośmiu godzin takie miasto i obsadzić je natychmiast czujnym, dzielnym i dobrze funkcjonującym aparatem administracyjnym, by po kilkunastu dniach znieść z powierzchni ziemi, tak, że prawie ani śladu nie zostało po pobycie tysiącznych rzesz, — toć przecież najlepszy dowód dzielności naszej



Szałasy Ursynowiaków.

organizacji. Dziś wydaje się snem, złudą — istnienie Zlotu. Po dawnemu na dróżce ciągną się puste i osamotnione błonia, szarzeją wydeptane ścieżki, a zasypane starannie

¹) W ciągu całego Zlotu ani razu nie padał deszcz, co więcej, nie było prawie chmur na niebie.

kuchnie, doły i rowki kryją od oczu niedawny pobyt tłumów harcerskich.

Dowodów sprawności i dzielności naszej organizacji możnaby przytaczać setki. Proszę tylko pomyśleć o dziesiątkach automobili ciężarowych, zwożących produkty żywnościowe i materjały budowlane, które natychmiast trzeba było rozparcelować, albo proszę zastanowić się nad rolą policji obozowej.

Chcę dać pewien charakterystyczny przykład naszej sprawności organizacyjnej: Oto ambulans zlotowy zanotował cztery poważne wypadki: śmiertelne zasłabnięcie, tonięcie, złamanie kończyn. Wszystkie cztery tyczyły osób cywilnych, naszych gości, którzy bądź nieumiejętnie, bądź niesfornie zachowywali się na Zlocie. „Wypadki harcerskie ograniczały się do skaleczenia i omdleń w czasie uroczystości.



Popisy na wielkiej arenie P. W. K.

Wreszcie na końcu chcę z dumą podkreślić, że Zlot nasz był:

S A M O W Y S T A R C Z A L N Y.

Wszystkie roboty zlotowe wykonaliśmy własnemi rękoma, z wyjątkiem wodociągów i elektryczności. Cały inwentarz polowy był własnością drużyn. Prawie wszystkie namioty są n a s z ą w ł a s n o ś c i ą. Na całym terenie Zlotu nie widać było ani jednej kucharki, ani jednego kucharza zawodowego. Chłopcy gotowali sami wszystkie posiłki. Żaden urząd ani instytucja rządowa nie pomagały nam instrukcyjnie w organizowaniu Zlotu.

Bracia harcerze i siostry harcerki! Cieszmy się, albowiem wychodzimy z powijaków. Do przeszłości należy czas, gdyśmy bez pomocy państwa lub samorządów nie mogli urządzać obozów. Dziś nie jesteśmy już ciężarem dla państwa i społeczeństwa.

Te oto trzy cechy Zlotu: potęga, sprawność organizacyjna i samowystarczalność uderzyły mnie najwięcej. — Chcę powiedzieć jeszcze jedno: o naszem obozowaniu wogóle, lecz wstydzę się trochę, aby nie sprawić przykrości skautom obcym, którzy obozowali na naszym Zlocie. Ponieważ jednak sądzę, że nie wezmą mi za złe szczerych, skautowych uwag, pozwolę sobie na tych kilka zdań.

Obozowały na Zlocie drużyny reprezentacyjne Łotyszów, Duńczyków, Francuzów i Estończyków. Mój Boże! Zazdrościłem im piękna estetycznych i drogich namiotów, ale nie rozumiałem zupełnie, dlaczego tak prymitywnie urządzili swoje obozy, a raczej ich zupełnie nie urządzili. Wyjątek stanowiła tylko drużyna łotewska, która duży i owocny wysiłek włożyła w prace obozowe.

Natomiast nasze drużyny w urządzeniach obozowych przeszły najśmielsze oczekiwania. Nie mówię oczywiście o dziesiątkach słabych i mało pomysłowych drużyn, których znaczny procent był w każdej chorągwi. Natomiast na dziesiątki można było naliczyć drużyny solidne. Pierwsza poznańska i piąta gnieźnieńska imponowały olbrzymem i solidnością wykonanych budowli, chorągiew śląska swą bramą-szybem, Warszawa ładem, porządkiem i estetyką, Mazowsze regjonalizmem, Wołyń motywami historycznemi, Lwów budową solidnych kuchen etc. etc.

W przeważnej większości chłopcy spali na pryczach, a pracowitość, karność i pomysłowość harcerzy zasługują na specjalne podkreślenie.

Były oczywiście i braki, niektóre nawet zasługujące na kategoryczne i ostre potępienie. Naprzykład urządzenia higieniczne były w bardzo złym stanie. W rozkładzie dnia niejednokrotnie panował chaos, do czego jeśli chodzi o drużyny, przyczyniał się afrykański upał, panujący przez cały dzień. Okropnie też wyglądało jedzenie w niektórych drużynach, których mało dowcipni kierownicy nie potrafili dopasować menu do tropikalnej temperatury. No i trzeba powiedzieć, że brak lasu i dobroczynnego cienia drzew doprowadzał nas czasem do rozpaczy.

Ale za to wszystkie drużyny zwiedziły wystawę, bo byliśmy tuż pod miastem, a raczej w mieście. I każdego wieczoru mieliśmy tysiączne rzesze gości. Kosztem lasu zrobiliśmy propagandę — to też coś warte.

W każdym razie wobec natłoku dodatnich wzruszeń, maleją nieliczne i przykre braki, gdy ostatniego dnia Zlotu odbywała się jakaś zbiórka i różni dostojnicy długo i „węzłowato" wyrażali podziękowania, życzenia, nadzieje, cały czas musiałem zduszać w gardle mimowoli wyrywający się krzyk entuzjazmu:

Niech żyje Harcerstwo!

Migawki zlotowe.

— Co u licha! Co to może być? — myślę, widząc o kilkaset kroków przed sobą coś nieokreślonego. Duże, szare cielsko wielkości słonia poruszało się w gęstwinie chwastów i ostów, od czasu do czasu znacząc się jeszcze czerwoną plamą.

— Krowa? skądby taka duża, koń? nie koń, bo zdaje się, że koń wydawałby mi się nieco niższym, cóż to może być?

Gdy zbliżyłem się bliżej — krowa okazała się Władkiem D., który pieszo przywędrował z Łowicza do Poznania i teraz właśnie w przewybornym humorze z czerwoną pończochą na głowie:

nurzał się w zieloność
i, jak łódka, brodził,
śród fali ostów szumiących
śród chwastów powodzi

i, niosąc na plecach przeogromny siennik, przedzierał się przez prawdziwą dżunglę „bodiaków" i innych kłująco przytrzymujących, gęstych, zwartych roślin. Obóz zlotowy był tego dnia prawie pusty — zaledwie Mahomet i kilku innych instruktorów, mając do pomocy duże trzy drużyny obozowali na całej przestrzeni zlotowej. Było wtedy pusto tam i nieprzytulnie.

A gdy po przywitaniu nagadaliśmy się, przypomniałem sobie, że rozmówca mój, to dawny elegancik, bawidamek i wytworniś — dziś przygnieciony potężnym siennikiem, półgolasek, opalony na bronzowo i tylko oczy były te same, no i jak zwykle ogolona starannie, pogodnie uśmiechnięta twarz.

— Więc mówisz, Władku, że pieszo z Łowicza? Sam? Tak, tak — kupę lat myśmy się z tobą nie widzieli. Harcerstwo umie hartować tak, tak!

* * *

Już publiczność zwiedza obóz. Pełno cywilów nie tylko na drogach lecz i na terenach drużyn, a nawet w namiotach. Tam jakiś pułkownik, tu — dama jakaś, ódzie znajomy wyższy urzędnik, gdzieindziej zacna postawa księdza...

— Witaj, drabie stary!

Oglądam się — również stary drab mnie wita, ale w jakim stroju?! On, ważny profesor, szanowny ojciec, pogromca Anglji na wodzie w krótkich, z przeproszeniem, portkach, boso i bez koszuli? Nietylko, że bez krawatu, lecz nawet bez koszuli?

— Pracujemy, popatrz co za bajeczne domy indyjskie budujemy!

Patrzę i rzeczywiście widzę z trzciny wybudowane domki — jeden, drugi, trzeci, reszta się wykańcza.

Już nie razi mnie jego strój, bo rozumiem — praca, tylko piekielnie dusi mnie mój ciasny kołnierzyk, pali marynarka, gniotą spinki, krawaty, paski i inne lakierki i rad byłbym cisnąć to wszystko gdzieś w kąt szałasu i poczuć się tak jak ten wilk morski spokojnym synem słońca, powietrza i ruchu.

— Może pomożesz mi dzisiaj w zawodach pływackich?

— Bardzo chętnie, odpowiadam, a kiedy mam się stawić?

— O piętnastej!

Myślicie, że stawiłem się punktualnie? Gdzie tam, spóźniłem się o kwadrans akademicki i piętnaście minut własne. Równo pół godziny przed moim zameldowaniem się odjechała motorówka na teren zawodów.

* * *

— Proszę druhów, nie wolno chodzić po wale! — mówi do nas, to znaczy do Lecha G., do jego znajomego (czytaj: do człowieka, który jest znajomym Lecha G.) i do mnie, wartownik.

— My jesteśmy harcmistrzami!

Wartownik się cofnął, chociaż próbował perswadować, że „tu nikomu nie wolno chodzić".

Miły wartowniku, jeżeli czytasz te wiersze, to wiedz, że wartownik jest starszy nawet od harcmistrza: jeśli nie wolno, przyjacielu, to nie wolno wszystkim, chyba masz wyraźne ograniczenia!

Pocałowaliśmy się z Leszkiem trzy razy: raz w lewo, raz w prawo i znowu w lewo i rozstaliśmy się.

Gdyby to tak za każdy pocałunek na zlocie, którym częstowali mnie wszyscy bliscy i którym ja ich częstowałem, zapłacono na rzecz Harcerstwa po złotówce, toby zlot był jeszcze morowszy niż był, ponieważ nazbierałoby się tych złotówek dziesięć tysięcy i więcej.

* * *

— Aaa!...

— Aaa!...

Cmok, cmok, przywitaliśmy się. Przepraszam — dla pełnego obrazu trzeba napisać jeszcze raz „cmok", jako że trzykrotnie zetknęliśmy się policzkami z Tomkiem.

— Jak defilada?

— Morowo!

— A która chorągiew najlepiej defilowała?

— Widzisz, mówię, najokazalej, najwięcej prezentacyjnie wyglądała warszawska. Naprawdę te tornistry i rozstrzelone czwórki oraz widoczny w każdym calu porządek zaimponowały mi. A śpiew gromki i swobodny robił jak najlepsze wrażenie.

— No a następna?

— Tak było dużo drużyn i tak były wielobarwne, każda miała w sobie tyle swoistych cech, że trudno określić, której bym dał drugie miejsce. Bardzo mi się podobała wołyńska ze swojemi dumkami ukraińskiemi, śląska — z pelerynami i góralami, mazowiecka — z orkiestrą i pogodą, jakiej brak było innym. Wogóle muszę ci powiedzieć, że defilada wypadła wspaniale. Co prawda to was było tak dużo, że aż zadużo. Wiesz, ile trwał przemarsz? Półtorej godziny!

— Morowy z ciebie chłop — nie pamiętam, czy on do mnie, czy ja do niego tak powiedziałem, dość, że cmok, cmok, cmok (widzicie! nie zapomniałem trzy razy podać „cmok") i rozeszliśmy się.

* * *

Cmok, cmok, cmok! — całuję się z Maryśką na ulicy. Tłumy ludzi patrzą na nas z podziwem i oburzeniem, ponieważ znajdujemy się w pobliżu generalicji harcerskiej, przyjmującej defiladę i głośnem cmokaniem psujemy tempo kroku maszerującym. Bynajmniej nikt nie patrzał na nas z oburzeniem ze względu na niestosowność pocałunku, bowiem każdy i każda z tłumu wiedział i wiedziała, że Maryśka wcale nie jest niewiastą, „ino komendantem od ślązaków".



Sowa w obozie zlotowym

(w kapeluszach: hr. Martin, reprezentant Międzynar. Biura Skaut. i Dh. Grzymałowski, sekretarz generalny Z. H. P., oraz hm. inż. Mitera z chor. krak.)

Patrzę z podziwem na gołe kolana tego oficera wojsk polskich i nagle czuję, jak niehigienicznym jest mój cywilny strój. Już sięgałem po scyzoryk do kieszeni, by zoperować nim przynajmniej jedną nogawicę w moich cywilnych spodniach, gdy inna, ważniejsza kwestja zaprzątnęła moją głowę.

— Skąd ja go znam, skąd ja go znam! pytam siebie w duchu, męską ma twarz, szerokie bary, wystający podbródek.
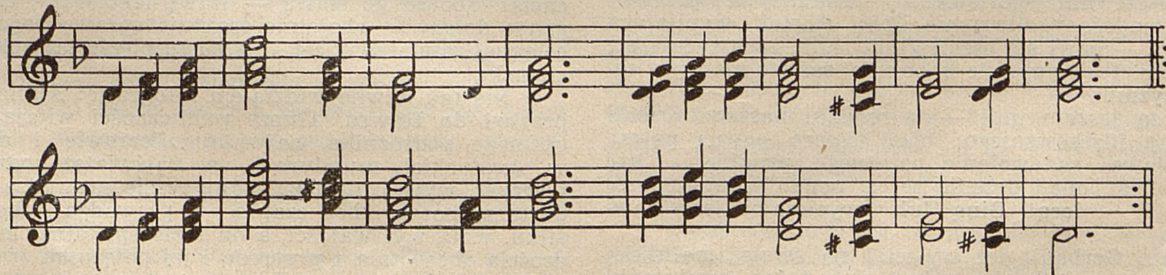
— Ja? ja jestem redaktorem „Na Tropie", a możeby druh napisał mi parę słów o zlocie.

Czy uwierzycie, że jak złapał, to nie puścił, aż napisałem owych parę fotomigawek.

Zwinny Tur.

HARCERSKA DOLA.

(Pieśń, ułożona na znaną melodję przez jedną z harcerek na obozie I. Ż. Drużyny Krakowskiej w Sinkowie nad Dniestrem.)



Z miejsca na miejsce, z wiatrem wtór,
Do Dniestru fal z Tatrzańskich gór,
Wszędzie nas pędzi, wszędzie gna
Harcerska dola ha! ha! ha!

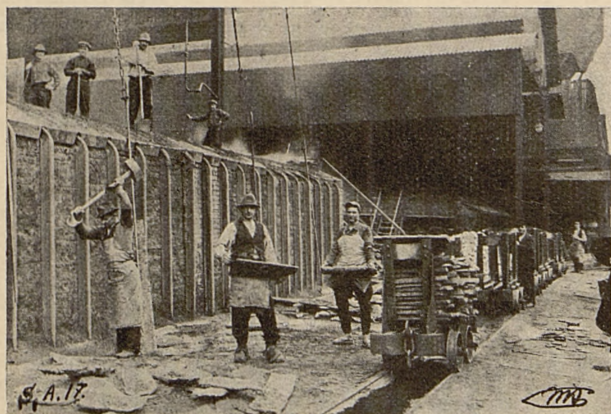
Nasz trud niestraszny, ani znój,
Bo myśmy złu wydały bój
I z niem do walki wciąż nas gna
Harcerska dola ha! ha! ha!

Nasza pogoda, jasny wzrok
Niechaj rozmoszy ludziom mrok,
Niechaj i innym słońce da
Harcerska dola ha! ha! ha.

Jak wytapia się żelazo?

Żelazo jest najważniejszym z metali, używanych przez człowieka, do celów przemysłowych. Zakres stosowania żelaza jest tak wielki, że trudno jest wyobrazić sobie człowieka współczesnego, któryby się bez wyrobów żelaznych obyć potrafił. Wspaniały rozwój techniki zawdzięczamy przedewszystkiem żelazu i gdyby przyszedł dzień, w którymby naraz zabrakło go na ziemi — równałoby się to katastrofie, której rozmiarów i skutków nie da się obliczyć.

Cenny ten metal nie występuje w przyrodzie w formie gotowej, jak inne niektóre metale, np. miedź, głównie z tego powodu, że żelazo jako takie łatwo łączy się z tlenem powietrza i wodą i zamienia się na tlenki względnie wodorotlenki żelaza (rdzę). Związki te spoczywają w ziemi w większych lub mniejszych skupieniach, tworząc t. z. rudy żelazne.



Zwózka gotowych bloków żelaza.

Rudy więc są to kopaliny, złożone z części ziemistych, zwanych złożem, oraz tlenków żelaza. Zawartość czystego żelaza w rudzie żelaznej jest czasami bardzo znaczna i dochodzi do 72%. Rudy te, których bogate pokłady istnieją w wielu miejscach kuli ziemskiej, po wydobyciu ładuje się na wozy kolejowe i przewozi do hut — czyli zakładów przemysłowych, w których z nich wytapia się żelazo. Wytapianie żelaza z rudy odbywa się w t. zw. p i e c a c h w y s o k i c h. Piece takie, wysokości około 30—40 m. wypełnia się naprzemian warstwami rudy i koksu, który służy jako materjał opałowy.

Spalanie się koksu odbywa się w dolnej części pieca. Wytwarzający się podczas spalania żar, wytapia z rudy żelazo, które w stanie płynnym spływa na dno pieca, tam się żelazo to od czasu do czasu wypuszcza z pieca i wlewa się do form w ziemi wykonanych, gdzie zastyga w kształcie płyt ok. 80 cm. długich, 10—20 szerokich i 5—10 cm. grubych. Zawarte w rudzie składniki ziemiste, czyli złoże, topią się również, tworząc t. zw. żużel, który jako lżejszy, pływa po powierzchni żelaza. Po ostygnięciu żużel znajduje zastosowanie w przemyśle do szutrowania dróg, wyrobu cegieł i innych celów. Podczas wytapiania żelaza, gazy spalinowe uchodzą górą pieca. Ponieważ są to gazy wysoko palne, nie wypuszcza się ich w powietrze, lecz zapomocą rurociągów odprowadza się do specjalnych zbiorników i używa się do różnych celów jak: opału, napędu silników gazowych i t. p.

Żelazo wychodzące z wysokiego pieca nosi nazwę s u r o w c a i w tej formie bywa używane tylko do odlewów. Żelazo to posiada dużą domieszkę węgla, bo blisko 3.5%. W ogólności węgiel znajduje się we wszystkich gatunkach żelaza przemysłowego, jako główna domieszka i od jego procentowej zawartości zależy gatunek żelaza. I tak:

Surowiec zawiera węgla około . .	3.5%
Żelazo kowalne zawiera węgla około	0.2—0.5%
Stal zawiera węgla około	0.8—1.7%

Widzimy więc, że gatunek żelaza zależy li tylko od procentowej zawartości w nim węgla.

Pierwsza postać żelaza przemysłowego — surowiec — zawiera najwięcej węgla. Jest jasną rzeczą, że aby surowiec przerobić na inne rodzaje żelaza — należy mu poprostu odebrać węgiel i to tak, aby pozostała jedynie taka procentowa zawartość węgla, jaka jest potrzebna dla danego gatunku.

Przeróbka surowca na żelazo kowalne odbywa się w tychże hutach w t. zw. piecach Siemens-Martina.

W piecach tych opalanych gazem, surowiec topi się, przyczem węgiel i inne domieszki wypalają się.

Kiedy zostanie węgla tylko tyle, ile potrzeba dla danego gatunku żelaza — zawartość pieca spuszcza się do wielkich kadzi żelaznych, wewnątrz wyłożonych zaprawą ogniotrwałą i przewozi się w inne miejsce huty, gdzie wlewa się do odpowiednich form zwanych „wlewnicami". We wlewnicach żelazo zastyga, tworząc t. zw. z l e w k i czyli b l o k i. Zlewki mają kształt prostopadłościanów i stanowią surowy materjał, z którego w walcowniach przez walcowanie wyrabia się handlowe gatunki żelaza, jak pręty różnych przekrojów, taśmy, drut, blachy oraz żelazo profilowe.

W tej dopiero formie żelazo jest gotowym materjałem, z którego w wielkich fabrykach i małych warsztatach wyrabia się potężne maszyny współczesne, oraz drobne przedmioty codziennego użytku.

Dr. Inż. M. Affanasowicz.

Bielsko 24. X. 1929.

Alain Gerbault.

Są różni sportsmeni: są jedni, Dempsejami lub Nurmiami zwani, stawiający rekordy siły fizycznej, nadzwyczajnego wysiłku w krótkim przeciągu czasu — tacy nam Polakom, bardzo odpowiadają, ponieważ mamy w swoim charakterze zamiłowanie do dużego lecz krótkotrwałego wysiłku.

Są jeszcze inni „sportsmeni" — tańczący bez przerwy parę dni, zjadający olbrzymie ilości ciastek, wypijający beczki piwa — bawi się niemi głupi tłum, zachwycają się rekordomani. Tacy nam nie imponują, zadużo mamy w sobie krytycyzmu.

Lecz są jeszcze inni — w rodzaju naszego Kubali i ś. p. maj. Idzikowskiego: choć śmierć pewna patrzy w oczy, sława, zadowolenie potężnego pragnienia być pierwszym, są ponad drżenie serca, ponad smutek pozostających i — lecą! Giną lub zwyciężają, lecz zawsze — lecą!

I Alain Gerbault też wyleciał na swojej malutkiej żaglóweczce w niebylejaką podróż: sam jeden, samiuteńki w łupince, gdzie tam w łupince! Jego łódeczka w porównaniu z ogromem oceanu jest mikroskopowym punkcikiem, jest prawie niczem — zerwał się jednak i ot tak, sam, mając w koło siebie tylko niebo i morze, morze i niebo popłynął naokoło świata. Czy odczuwacie niesłychaną śmiałość przedsięwzięcia? — Sam, w takiej żaglóweczce, że pierwsza większa fala mogłaby ją rozbić, wyrusza nie z Helu do Gdyni, nie z Polski do Szwecji, lecz naokoło świata! Co za szalony czyn! Warjat? Neurastenik? Rekordoman? — Nie, ani warjat, ani rekordoman: oto kocha przygodę, walkę, wspaniale czuje się wśród bezkresnych wodnych pól i samotności, wytrwały i niezrażający się żadną przeszkodą, wyruszył, bo bardzo chciał. Spotka go sława — sławę lekceważy, czekają go grube dolary — obojętnie traktuje sprawę bogactwa: on osiągnął zamierzony cel — w ciągu pięciu lat opłynął kulę ziemską!

Nie tak dawno widziałem fotografję: Alain Gerbault przybył do Hawru. Tłumy publiczności witają nadzwyczajnego podróżnika, najwyżsi oficerowie i dygnitarze w eleganckich mundurach, w najświeższe odziani kołnierzyki, wytwornie uśmiechający się prowadzą jego, obdartusa, bosego, bez czapki, — prowadzą bohatera wysiłku, woli, wytrwałości, a on idzie spokojny, mądry mądrością obcowania z przyrodą i jej potężnym żywiołem — wodą, doświadczony walką w samotnym zwarciu się pierś w pierś ze śmiercią, zadumany blaskiem księżycowych nocy, upalnych złotem słońca dni, — idzie Alain Gerbault pogromca oceanów, bohater! Prawdziwy sportowiec!

Z. T.

Wśród lodowców i fjordów Norwegji.

(Ciąg dalszy.)

Odkrycie to wprawiało ich w niesłychaną radość. Zrozumieli, dlaczego wschód okazał się na niebie tak blisko zachodu, tak, że zorza wieczorna zlała się z poranną. Słońce wlało im świeżą otuchę w serca. Nie było już obawy ciemności, zresztą krajobraz przedstawiał się teraz mniej groźnie. Niebawem otworzyła się przed niemi upragniona dolina. Teraz, trzeba już tylko zejść na dół i łatwo będzie trafić do Djepwand. Pomimo zmęczenia zbiegli wprost zboczem do doliny. Gnała ich także nadzieja, że może tam w dole trafią na szałasy pasterskie, które musiały być po górach rozrzucone, tak jak słyszeli, że to bywa w Tatrach.

Prędko znaleźli się na dnie doliny. Była pusta. Olbrzymi, szeroko rozlany potok, przecinał im drogę. Nie było innego sposobu jak przejść go w bród, ale nogi zmarzły im dotkliwie — była to bowiem woda wprost z lodowców.

Za potokiem, ciągnęła się długa zielona łąka. Nagle usłyszeli coś jakgdyby tętent i, o radości! biegło na ich spotkanie kilka młodych, widocznie pasących się tu koni. Dalej na łące zobaczyli całe stado tych źrebiaków. Wszystkie na widok dzieci przestawały się paść i odwracały głowy w ich stronę.

— Są konie, to i ludzie niezawodnie będą, rzekła Marysia.

Przeszli całą łąkę, a konie zbiegły się w gromadę i szły za niemi, wyciągając ku dzieciom przyjaźnie głowy i patrząc na nie zdziwionemi oczyma. Widać, że się te stworzenia stęskniły za ludźmi! Ale pastucha nigdzie ani śladu. Za łąką droga zwężała się i nie było tam już trawy. Konie stanęły i czekały najwyraźniej, co zrobią dzieci. Przykro im było iść dalej. Przekonali się, że najwidoczniej, konie te pasły się same, że ludzi z niemi nie było. Uczucie osamotnienia wśród tej dzikiej przyrody chwyciło ich znowu. Żal im było rozstawać się z temi stworzeniami, które patrzały tak przyjacielsko. Ale co było robić? Trzeba iść dalej. Ruszyli więc zwolna skalistą dróżką, oglądając się wciąż na konie. Zwierzęta stały czas jakiś strzygąc uszami, wreszcie, jakgdyby na sygnał jakiś wszystkie zawróciły i galopem pobiegły przez łąkę w tę stronę, skąd poprzednio przyszły.

Tymczasem dolina zaczęła się nieco obniżać. Potok płynął teraz wartkiem korytem, przerywanem częstemi wodospadami.

Wezbrał jakoś bardzo i huk jego spienionych fal był wprost ogłuszający.

— Jak my teraz przejdziemy przez tę wodę, zauważył nagle Jaś, przecież według mapy schronisko nad jeziorem jest po drugiej stronie doliny.

— Prawda, rzekła Marysia, ale przecież musi być most na niem. My ciągle idziemy ścieżką, więc ona musi doprowadzić.

Potok potężniał z każdą chwilą. Nie mogło już być mowy o przejściu go wbród. Prąd wody porwałby każdego, ktoby się na to ośmielił.

Przeszli ostatni wysoki próg skalny i nagle między górami, otaczającemi dolinę, oczom ich ukazał się w dole olbrzymi niebieski szmat wody.

— Jezioro Djepwand!! — wykrzyknął Jaś.

Za chwilę zobaczyli u stóp swych jezioro w całej okazałości. Było tak ogromne, że brzeg przeciwległy ginął w mgiełkach i widać było tylko pasmo gór po drugiej stronie. Jak okiem sięgnąć, rozlewała się szeroko woda jeziora o cichej, niczem niezmąconej powierzchni. Tu i ówdzie sterczały na niej niewielkie granitowe wysepki. Jezioro było zupełnie odludne. Nigdzie nie widać żadnej wioski ani pojedynczego domku, żadnej łodzi i wogóle ani śladu ludzkiego życia.

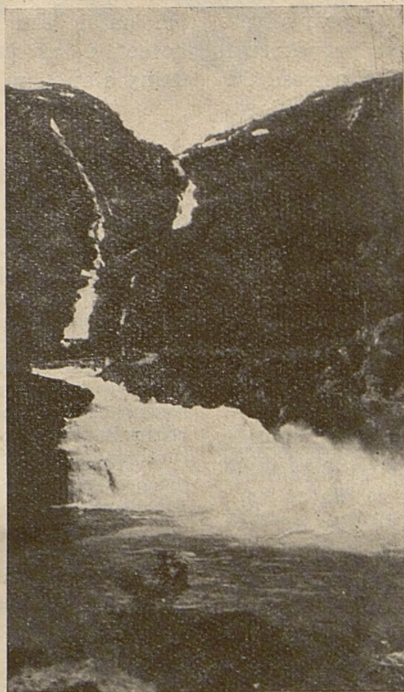
Potok tworzył nad samem jeziorem ostatni wodospad, z którego huczące wody wpadały już wprost do spokojnej tafli Djepwandu.

Po drugiej stronie potoku, tuż nad samem jeziorem ujrzeli nagle, zupełnie niespodziewanie, mały domek. Był brunatno-czerwony, ze spiczastym dachem.

A więc już koniec trudów! Tylko... jak się do tego domku dostać? Mostu nie było... Zeszli nad sam brzeg jeziora. Domek widać było jak na dłoni o jakie 200 kroków od nich.

Próbowali krzyczeć, ale szum wody zagłuszał w zupełności ich wołania. Czy dojrzą ich z domku? Czy tam wogóle są ludzie? W tym kraju, gdzie człowiek jest taką rzadkością, może i domy są bezludne?...

Ale nie, bo oto dym idzie z komina.



Typowy wodospad norweski (wodospad na Flaamndalen, dolina schodzi do Sognefjord).

Zaczęli dawać znaki, machając kijem, na końcu którego uwiązali wyjętą z plecaka koszulę. Trwało to dość długo. Już zaczęli wątpić w skuteczność tych sygnałów, gdy wtem drzwi domku otwarły się i jakaś jasnowłosa dziewczyna wyszła ze dzbankiem po wodę. Nagle, zatrzymała się i zawróciła. Czy zobaczyła Jasia i Marysię? Po chwili wyszedł młody chłopiec, skierował się do jeziora i tam zniknął wśród głazów. Minęło jakieś dziesięć minut pełnego nadziei oczekiwania. Nagle na jeziorze ukazała się łódka, okrążyła ujście potoku i podążała wprost do dzieci. Za chwilę przybiła do brzegu, a chłopiec mówiąc coś po norwesku zapraszał ich do wejścia. Wskoczyli do łódki rozpromienieni, czując, że to już kres trudności, że pokonali to, co było najcięższe.

Niebawem byli już w zacisznej izbie w czerwonym domku, który okazał się turystycznem schroniskiem. Gospodyni i kilka dziewcząt posługujących zasypywały ich pytaniami zdumione, jak takie cudzoziemskie dzieci zdołały same wedrzeć się w samo serce gór. Zaprowadziły je do stołu, gdzie postawiły przed niemi mleko gorące, ryby przeróżne i suszone mięsiwa. Dawno im żaden obiad

tak nie smakował! Ale potem uczuli nagle tak wielkie znużenie, że jeszcze przy stole, ani wiedząc kiedy, usnęli.

— — — — — — — — — — — — — —

Gdy się Marysia zbudziła, była w miękkiem, wygodnem łóżku, w jasnym i czystym pokoiku. Zerwała się i ubrała pospiesznie, gdyż niedokładnie sobie zdawała sprawę gdzie się znajduje. W tej chwili Jaś wpadł do pokoju wołając:

— No Marysia, ależ ty spałaś! Cały kawałek dnia wczorajszego, całą noc, a teraz już 10-ta rano. Ja już godzinę temu wstałem, zjadłem śniadanie i dowiedziałem się ciekawych rzeczy. Chcąc się od tych Norwegów dowiedzieć, jak iść dalej, mówiłem ciągle „Myrdallen" i pokazywałem różne strony świata. Oni mi zaraz jednę stronę pokazali, o,' tam. Dużo przytem mówili, czego naturalnie wcale nie zrozumiałem. Potem znowu o coś mnie wciąż pytali. Nie wiedząc, co im odpowiedzieć, mówiłem Myrdallen i Ewessen, to jest znazwisko tego przyjaciela tatusia. Jeden z nich, jak to usłyszał, zaraz przyskoczył do mnie i mówi pokazując na siebie: Olaf Ewessen! Ja mu wtedy daję do przeczytania w słowniczku słowo „ojciec" i pokazuję w kierunku Myrdallen. On się bardzo ucieszył, śmiał się, ścisnął mi rękę i coś długo mówił. Zmiarkowałem, że on musi być krewny tego przyjaciela tatusia, Nielsa Ewessena i że chce nas tam zaprowadzić.

— To byłoby wspaniale, wykrzyknęła Marysia.

Pobiegli oboje do jadalni. Tam ujrzeli wysokiego barczystego mężczyznę o pogodnem, uprzejmem wejrzeniu, który pakował swój plecak. Przywitał się z Marysią serdecznie jak z dobrą znajomą i najwidoczniej wybierał się z dziećmi w drogę. Zaraz po śniadaniu skinął na nich. Marysia cieszyła się z tej opieki, bo już wypróbowała dosyć własnej samodzielności, a teraz pilno jej było do ojca. Opuścili więc schronisko ze swym nowym przyjacielem. Olaf Ewessen prowadził ich zrazu urwistą ścieżką, stromem górskiem zboczem. Niejednokrotnie pomagał im w trudniejszych miejscach. Wreszcie dotarli do małej wioski, skąd zaczynała się już równiejsza droga. Opiekun ich najął tam konika z małym wózeczkiem na dwóch kołach i tak już pojechali dalej. W niespełna trzy godziny stanęli w Myrdallen. (C. d. n.).

Dziewięć cudów świata współczesnego.

(w) Pewne amerykańskie czasopismo rozpisało ankietę na temat siedmiu cudów naszej epoki. Ankieta ta posiada specjalne znaczenie, ponieważ zabierały w niej głos wybitne osobistości, a uporządkowanie materjału powierzono prezydentowi technologicznego instytutu stanu Massachussets, prof. Samuelowi W. Strattonowi.

Przypominamy, że siedem cudów starożytności tyczyło się wyłącznie tylko dziedziny sztuki i architektury. Były to piramidy i Sfinks, wiszące ogrody Semiramidy, świątynia Djany w Efezie, grób Mauzolusa w Małej Azji, kolos na wyspie Rodos, statua Zeusa w Olimpji i wieża w Aleksandrji. Wszystkie te cuda uległy zniszczeniu z wyjątkiem piramid i Sfinksa, nowoczesne natomiast są znacznie trwalsze, albowiem polegają na opanowaniu przyrody.

Wedle Strattona mamy aż dziewięć nowych cudów świata, a mianowicie: 1) odkrycie bakteryj i powstanie bakterjologji, 2) rozwój naszej wiedzy o składzie materji i promieniowaniu, 3) zastosowanie elektryczności jako światła i siły, 4) konstrukcja motorów, 5) nowoczesne metody budowy domów, oparte na metalach i cemencie, 6) nowoczesna metalurgja, 7) konserwowanie środków żywności, 8) aeronautyka, 9) rozwój maszyn ułatwiających pracę i potęgujących jej wydajność.

Bakterjologja zawdzięcza swe powstanie Pasteurowi. Dawniej dżuma, cholera i inne zarazy były prawdziwą plagą, a teraz jesteśmy bądź co bądź przeciwko nim uzbrojeni. Kilkadziesiąt lat zaledwie nas dzieli od odkrycia Pasteura, który zauważył, że procesy fermentacji piwa i wina nie dzieją się „same przez się", lecz są dziełem małych niedostrzegalnych gołem okiem istot. Od tego momentu zaczęła się gonitwa za temi istotami, nastąpiły odkrycia rozmaitych rodzajów bakteryj, a obecnie mamy przeszło tysiąc ich rodzajów. Cała nowoczesna chirurgja, higjena, ba rolnictwo, są w przeważnej części zależne od bakterjologji.

Wiedza nasza o składzie i istocie materji rozpoczęła się od małych niewidzialnych atomów. Nastąpiło potem odkrycie radu, które nam pozwoliło popatrzeć się nieco głębiej w tajemnicę świata. Dzięki tym odkryciom otrzymaliśmy nowoczesną chemję, ale i równocześnie i medycyna znalazła dla siebie nową dziedzinę, dzięki zastosowaniu radu w lecznictwie.

Elektryczność, ów trzeci cud świata, znaną nam jest już dość dawno, chociaż jej istota pozostaje dla nas zupełnie nieznaną. Przypomnijmy sobie owe ostrożne eksperymenty Faradaya i porównajmy z niemi olbrzymie dynama, które wytwarzają i rozdzielają siłę, telegraf, telefon, radjo, telewizję, fultografję i t. p.

A jakąż rewolucję wprowadziły motory? Świat otrzymał niejako nowe oblicze, przyczem zauważyć należy, że ludzka wynalazczość na tem polu znajduje się dopiero w stadjum początkowego rozwoju.

Piątym cudem świata jest chyba nowoczesna architektura, posługująca się metalem i cementem. I oto w rezultacie otrzymaliśmy potężne mosty, tamy, kolej podziemną i t. d.

W dziedzinę innego cudu wkraczamy, gdy przystępujemy do metalurgji. Zezwala nam ona, przy zastosowaniu rozmaitych procesów i sztucznych temperatur, na spajanie różnych metali.

Konserwacja środków żywności jest podstawą przemysłu. Dzięki niej bowiem mogą się utrzymać centra przemysłowe zdala od okolic rolniczych. Dzięki zastosowaniu naszej wiedzy o bakterjach można utrzymać i transportować na dalekie odległości środki żywności.

W związku z tem wszystkiem pozostaje aeronautyka. Dawne marzenia rozmaitych Ikarów znalazły obecnie niejako swe urzeczywistnienie, teraz zapomocą aeroplanów przebywamy wielkie przestrzenie nadmorskie w b. krótkim czasie.

Pozostają wreszcie maszyny, regulujące wydajność pracy ludzkiej. Dotychczas człowiek był skazany tylko na pracę swych rąk, atoli dzięki maszynom przestaje być niewolnikiem. Maszyny wyzwalają człowieka i umożliwiają mu inne zupełnie życie.

Gdy się mówi o cudach starożytności, mimowoli ogarnia nas melancholja, okazało się bowiem, że czas był silniejszy od tych cudów. Gdy się mówi natomiast o cudach naszej epoki, ogarnia nas optymizm, albowiem są one wieczne i trwałe jak ludzkość cała.

Konkurs krajoznawczy dla czasopism młodzieży.

Komisja Kół Krajoznawczych Młodzieży Szkolnej z okazji dziesięciolecia miesięcznika krajoznawczego „Orli Lot" ogłasza konkurs dla czasopism wydawanych przez młodzież szkolną.

W konkursie mogą brać udział te czasopisma młodzieży, które jeden lub więcej zeszytów wypełnią w całości lub częściowo materjałami krajoznawczemi, zebranemi przez młodzież na podstawie osobistych obserwacyj. (Przykład znaleźć można w „Orlim Locie", Kraków, Barska 41).

Termin trwania konkursu do 30 listopada 1930 r.

Nagrody od 50 do 200 zł. zostaną wypłacone z funduszów udzielonych przez Min. Wyzn. Rel. i Ośw. Publ. oraz przez Oddziały Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

Adres do nadsyłania prac konkursowych: prof. Leopold Węgrzynowicz, Kraków, ul. Krowoderska 74, II p.



(Ciąg dalszy.)

Streszczenie:

Cygan Szczawiński napadł na gajowego Sianowskiego. Rannym zaopiekował się nieznany w wiosce, Jacek Jemioła i oddał go w ręce harcerzy. W nocy, kiedy Szczawiński chciał oddalić się z okolicy, w obawie przed skutkami przestępstwa, przybył doń jakiś bogaty człowiek z propozycją przeprowadzenia jakieś podejrzanej akcji przy pomocy syna Szczawińskiego, Józka, który też był harcerzem.

Następnego dnia towarzysze Józka zaniepokojeni jego nieobecnością na zbiórce, udają się do jego domu. Nowy ich znajomy, Jacek Jemioła, ze śladów odczytuje, że Józek z dwoma starszymi odszedł w nocy, a właściwie został uprowadzony w aucie. Skauci postanawiają go odszukać. Jacek i Staszek Bury idą śladami samochodu, które prowadzą do zamku na Liwiu. Jacek na skrzyżowaniu dróg pozostaje, czekając na resztę zastępu, który w tem miejscu rozkłada się na noc. Staszek, zbliżywszy się do bramy zamkowej, ujrzał nagle Szczawińskiego. Nie chcąc, by ten dowiedział się, że harcerze są na jego tropie, Staszek począł uciekać wzdłuż muru, otaczającego park zamkowy. Biegnąc wpadł do jakiejś studni, na szczęście bez szwanku. Ze studni prowadziły w głąb podziemia schody.

Ciemności panowały zupełne i Staszek żałował, że nie wziął z sobą latarki elektrycznej. Czyż mógł jednak przypuszczać, że w swej wędrówce napotka podziemny loch, czy jakieś schronisko. W dawnych czasach wszystkie niemal stare zamczyska i budowle miały tajne wyjścia. Nie wątpił przeto, że schody prowadzą do jakiejś zapomnianej piwnicy, połączonej z zamkiem.

Powoli stąpał po oślizgłych z wilgoci schodach. Naliczył ich dwadzieścia pięć — gdy skończyły się przed jakiemiś drzwiami. Staszek raz jeszcze przeszukał kieszenie i z niemałą radością znalazł małe papierowe pudełko z czterema zapałkami. Zaświecił ostrożnie jednę z nich i w jej nikłym blasku ujrzał stare dębowe drzwi. Silnie pchnięte otwarły się ze zgrzytem zardzewiałych zawiasów i Staszek znalazł się w wąskim, prostym korytarzu. Niestety zapałka zgasła — skaut nasz począł dalej postępować w ciemności, by oszczędzić skromnych zapasów światła. Prawą ręką dotykał ściany, lewą zaś wyciągnął przed siebie, by ochronić twarz przed możliwem uderzeniem.

Wkrótce stanął przed drugiemi drzwiami, które równie łatwo się otwarły. Wszedłszy za nie, zaświecił nową zapałkę i spostrzegł, że znajduje się w małej sali, której ściany były wyłożone drzewem, a na środku znajdował się stół i krzesło. Prawdopodobnie i tutaj, jak w korytarzu nie było okna, bowiem po zgaśnięciu zapałki zapanowały nieprzeniknione ciemności. Staszek rozpoczął badanie pokoju, ostrożnie postępując wzdłuż ścian. Po kilku krokach potknął się, a nachyliwszy się, stwierdził, że były to dwa kamienne schodki. Począł badać dokładnie rękoma ścianę nad niemi, jednak czuł takie samo drewniane wyłożenie jak w całym pokoju. Pocóż byłyby więc schody, jeśli niema drzwi?

Naraz silniej zabiło mu serce. Za drewnianą ścianą usłyszał ludzki głos — napewno głos Szczawińskiego. Rozumiał każde słowo, sala, w której się znajdował, musiała przeto być połączona z sąsiednią izbą.

— No! — mówił cygan — nabrałeś już rozumu? Lepiej zrobisz, jeśli dobrowolnie się zgodzisz.

— Nie, nie chcę — brzmiała odpowiedź.

Staszek ledwie zapanował nad sobą. Tym razem przemówił poszukiwany Józek.

Z za ściany słychać było jeszcze, jak cygan groził synowi, gdy nowy głos mu przerwał:

— Poczekajcie, Szczawiński! Nie unoście się. Chłopak nie ma dla nas żadnego znaczenia. Wogóle niepotrzebnie wciągaliśmy go do tej całej sprawy. Przeprowadźcie to wszystko sami, a ten mały błazen jest tutaj bezpieczniejszy, niż gdzieindziej, stąd nam nie ucieknie, jak ze starego młyna. Wy, silny mężczyzna łatwo sobie dacie radę nawet z garstką chłopców. Szkoda każdej straconej godziny. Z upartym smarkaczem nie można w dwudziestym wieku tak postępować, jak przed paroma setkami lat. Pozostawimy go tutaj pod kluczem i spróbujemy sami.

— Róbcie, co chcecie, ale ja przyjaciół nie zdradzę — zawołał gorączkowo Józek. — Jeśli to prawda, że on jest z nimi, to tak łatwo wam się to nie uda. Nie wiem, co za podłość obmyśleliście, ale wiem...

W tem miejscu do uszu Staszka doszedł odgłos uderzenia i bolesny krzyk przyjaciela.

— Stul pysk — wrzasnął cygan. — Ma Pan rację. Tego durnia zostawimy tutaj. Niech się Pan na mnie spuści, tylko musimy się spieszyć.

— Doskonale — przytaknął nieznajomy.

Uderzenia drzwiami i zgrzyt klucza w zamku świadczyły, że opuścili pokój. Staszek czekał jeszcze chwilę, lecz dłużej nie mógł wytrzymać. Zapukał pięć razy palcami w drzewo, a po małej chwili dodał jeszcze jedno uderzenie. Był to umówiony znak Wyder. Za chwilę z drugiej strony do ściany zbliżyły się kroki. Staszek po-

wtórzył swe hasło. Z drugiej strony odezwały się trzy uderzenia, a potem pięć. Staszek odpowiedział czterema wolnemi pukaniami, by Józek mógł się przekonać, że to przemawia jego przyjaciel.

— Kto tam? — usłyszał zdenerwowany głos.

— Ja, Staszek. Czy możemy mówić bezpiecznie?

— Nie wiem. Gdzie ty jesteś, jak się tu dostałeś?

— Jestem w ciemnościach za drewnianą ścianą. Mniejsza o to, jak się tu dostałem, ale nie wiem, jak się stąd wydostać. Jeżeli tu są drzwi, to otwierają się tylko od twej strony. Ludzie robili takie tajne wyjścia po to, aby móc się wydostać na zewnątrz, więc po twej stronie musi być zamek.

— Nie, ściana jest gładka.

— Niemożliwe — musi być. A może to są tajne drzwi. Pamiętasz, jak Pan Grzegorzewski pokazywał nam tajne wyjście z ich jadalni.

— Tak, tak. Tutaj są takie same rzeźby, jak u niego.

— Próbuj je nacisnąć.

Po dobrych kilku minutach, które dla Staszka wydawały się długą godziną, część ściany ustąpiła i Staszek patrzył na pokój, który był więzieniem Józka. Zaledwie powstrzymał się od zwycięskiego okrzyku.

— Jak to zrobiłeś?

Józek wskazał na jednę z rzeźbionych głów tkwiących w drewnianej ścianie.

— Powiedzże mi wreszcie, jak ty się tu dostałeś?

Staszek roześmiał się: — O cóż ci chodzi, dostałem się bardzo łatwo, tylko nie wiem, jak się stąd wydostać — i pokrótce opowiedział swą przygodę. Ponieważ jednak zachodziła obawa, że cygan może jeszcze raz przyjść do lochu do więzienia swego syna, a na dworze panował jeszcze dzień, bo dopiero siódma godzina się zbliżała, chłopcy postanowili, że Józek pozostanie jeszcze sam w swej sali aż do wieczora. Staszek zaś wziął z sobą parę świec ze starodawnego świecznika i pudełko zapałek i za półtorej godziny miał przyjść po towarzysza. Tajne wejście, które zamknęło się, gdy Staszek wszedł do pokoju, za pociśnięciem drewnianej głowy znowu się otwarło.

— Mechanizm pracuje bez wady — rzekł z zadowoleniem — słuchaj, Józek, czego właściwie chce twój ojciec od ciebie.

— Koniecznie chce schwycić tego rudego chłopca, który zatrzymał się u Grzegorzewskich. Nie wiem, dlaczego nań godzą, ja miałem go tutaj zwabić.

Staszek zagwizdał. — Zatem tak się sprawy mają — zawołał — no, ten rudy chłopiec nazywa się Jacek Jemioła i jest już w naszym zastępie. To miły chłopiec. Musimy wrócić do nich jak najszybciej. Jeśli się nam tu nie uda stąd wyjść — wpadliśmy. Ale już idę.

Józek został sam. Uczucia jego były teraz zupełnie inne, niż poprzednio przed rozmową z Staszkiem.

(C. d. n.)



Anteny podziemne i podwodne.

Wiadomą jest rzeczą, że odbiornik radjowy niezawsze pracuje z jednakową czystością i siłą głosu. Mogą być tu dwojakie przyczyny: jedne leżące w konstrukcji samego odbiornika, a drugie, w samej antenie, a ściślej mówiąc, w warunkach atmosferycznych, które w znaczny sposób wpływają na jakość odbioru. Fale elektromagnetyczne przebywając drogę nad powierzchnią ziemi, przez okolice o różnych warunkach atmosferycznych, a więc przez strefy deszczu, burz ulegają pewnym zniekształceniom i powodują szmery i zgrzyty przy odbiorze.

Znane są radjoamatorom t. zw. „fadingi", polegające na kolejnem osłabieniu się lub wzmacnianiu audycyj, które równie w znacznym stopniu utrudniają prawidłowy odbiór.

Starano się w różne sposoby usunąć te przeszkody, dając dodatkowe obwody, stosując odpowiednie łączenia i t. p. Dopiero w ostatnich czasach próby zastosowania anten podziemnych względnie podwodnych, dały w tym kierunku dodatnie rezultaty, gdyż pozwalają prawie w zupełności usunąć wpływ atmosfery na jakość odbioru.

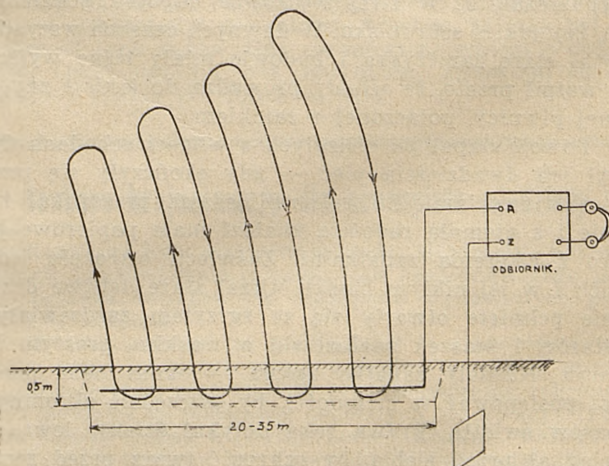
Anteny te wynalazł jeszcze podczas wojny Amerykanin Dr. James Harris Rogers. Służyły one początkowo dla komunikacji podwodnej między łodziami podwodnemi a okrętami. Posiadają one tę zaletę, że dają zawsze stały odbiór bez względu na pogodę czy też porę dnia. Z tego powodu robiono różne próby dla zastosowania ich w komunikacji radjowej lądowej.

Antena taka składa się z przewodu dobrze izolowanego, zakopanego w ziemi w głębokości około ½ m. (patrz rys.). Zwykle kopie się rów długości około 20—35 m., o głębokości ½ m. i zakopuje w nim taki przewód, który służyć będzie jako antena podziemna. Uziemienie pozostaje niezmienione.

Jak z załączonego rysunku widać, anteny te, wykorzystują części fal elektromagnetycznych, znajdujące się pod powierzchnią ziemi, wskutek czego zniekształcenia fal nad powierzchnią ziemi nie udzielają się częściom fal pod powierzchnią ziemi i odbiór pozostaje czysty.

Ważnym warunkiem skuteczności i dobroci działania takiej anteny jest doskonała izolacja jej od ziemi. W tym celu zalecają obok zwykłej izolacji przewodu zastosować opancerzenie przewodu ołowiem, aby uniknąć ewentualnego zniszczenia zewnętrznej izolacji, wskutek wpływów wilgotności terenu i t. p.

Obok anten podziemnych są używane w komunikacji podmorskiej również anteny podwodne, których działanie polega na tej samej zasadzie. Antenę taką stanowi przewód starannie izolowany, umieszczony pod wodą np. na dnie rzeki lub zwisający z okrętu wzgl. łodzi podwodnej. — Obecnie wszystkie łodzie podwodne Stanów Zjednoczonych posiadają takie anteny.



Próby zastosowania tych anten do odbioru amatorskiego, dały doskonałe wyniki i w przyszłości należy się spodziewać, że anteny te ze względu na swe zalety, jak dogodność umieszczenia oraz czystość odbioru, zastąpią niewygodne i dużo miejsca zabierające, anteny zewnętrzne.

Inż. Z. M.



(Dokończenie.)

Z leśnych komyszy wychodzimy wreszcie na bezkresne rozłogi połonin. Zeschła od żaru lipcowego trawa szelesce pod nogami. Przed nami wznoszą się w miarę wędrówki i opadają, gdy wychodzimy wyżej, jednostajne, potężne szczyty. Wszystkie je przysłania siwawa mgła oddalenia i spieka. W dali rysują się kontury dwóch wysokich gór po stronie rumuńskiej. To szczyty: Michailescul i Versaul.

Zaledwie wydostaliśmy się na graniczną, idącą szczytami drogę, z za pikiety rumuńskiej wywalają się ciemne i białe po krańcach zwały chmur. Zaledwie biegiem zdołaliśmy się schronić pod najbliższe chojaki, gdy ogarnęła nas gęsta mgła, poprzedniczka burzy, która tu, jak wszędzie w górach, przychodzi niespodziewana i szybka.

Widzimy, że jeszcze parę chwil, a nasz cały przyodziewek i prowiant przemoknie. Wobec tego, wychodząc z założenia, że własna nasza skóra prędzej wyschnie, niż ubranie, zdzieramy je z siebie, układamy plecaki, przykrywamy gumowemi płaszczami i rozpalamy jak największą watrę, sami zaś z rozkoszą kąpiemy się pod naturalnym tuszem Pana Boga, choć kulki gradu, które, zbyrcząc odskakują od naszych głów, mniejszą nam sprawiają przyjemność.

Gdy wreszcie po kilku godzinach błysnęło dobroczynne słońce, wyglądaliśmy jak topielce, świeżo wyciągnięte na brzeg ze zmierzwionemi włosami i cali zlani wodą.

Idziemy tedy znowu granicą. Nad nami niebo rozsrebrzone w chmurach, pod stopami czarno-zielone zwały lasów i w niewidomą gdzieś dal odchodzące roztoki. Czasami przemkną przed nami huculi i krasne naszyjnikami i haftami świecące hucułki, plamy żywej czerwieni na monotonji niebiesko-zielono-mglawej połonin, lasów i bezkresnych obszarów. Mijamy czerwone słupki graniczne polsko-rumuńskie, które znaczą naszą drogę wzdłuż szczytów. O ile możności pozostajemy po polskiej stronie. Rumuńska granica przez Rumunów obsadzona jest nadzwyczaj gęsto, co kilka kilometrów spotyka się rumuńskie placówki, t. zw. „piketeszti" — małe domki z trójkolorową, blaszaną, chorągiewką na dachu, „poloneszti turisti" nie doznają bynajmniej od naszych sprzymierzeńców miłego przyjęcia

Ludzie ci wychodzą zapewne ze zdrowej zasady, że wszelkie włóczenie się po górach w okolicach niezamieszkałych jest zajęciem zdrożnem i powinno być tępione. Podobno, jak słyszeliśmy z ust tutejszych leśników, pograniczni strażnicy rumuńscy są nieraz niewyczerpani w pomysłach wyłudzania bakczyszu.

Jak nam opowiadano ubiegłego roku robotnicy polscy, naprawiający jakąś klauzę (t. j. zbiornik wody) musieli wejść parę razy na terytorjum rumuńskie. W tym celu inżynier nadzorujący wystarał się o specjalne pozwolenie w dowództwie głównem w Bukareszcie! Zadowolony po długich formalnościach idzie z otrzymanym papierem na granicę do rumuńskiego sierżanta.

Sierżant długo patrzy z różnych stron na przepustkę, wreszcie podkręca wąsa i konkluduje:

— Ta, niby przepustka jest, ale dla nas to ona nic nie znaczy, bo my z naszym sztabem teraz źle żyjemy.

Wobec takiego stanowiska trzeba było srogiego sierżanta ułagodzić bardziej przekonywującemi i brzęczącemi argumentami. Gorzej, że na drugi dzień to samo powtórzyło się z szeregowymi strażnikami granicznymi. Tym razem sierżant znikł jak kamfora, a żołnierze tak energicznie wzięli się do wyganiania robotników, że trzeba było ich w ten sam sposób przekonać.

Idziemy obecnie wśród mgły od słupka do słupka granicznego. Pod wieczór dochodzimy do granicy trzech państw, Polski, Czech i Rumunji — Stohu (Stogu) i tu witamy pierwsze białe słupki czesko-polskie. Na noc wchodzimy do pierwszej napotkanej koliby. Wesoło płonie watra. Suszą się nasze przemokłe ubrania. Ociężałe juhasy siedzą rzędem pod ścianą i patrzą na nas ciekawie, kurząc swe faje. W spojrzeniu ich widać pewną pobłażliwość, z jaką się odnoszą do ludzi tak dziwnych, jak my, którzy właściwie niewiadomo dlaczego ubrali ciężkie plecaki i łażą z niemi po górach i halach.

Nazajutrz rano baca pogniewał się na jakiegoś nieposłusznego juhasa, zwyzywał go, co się zowie, a na końcu tak mu pogroził:

— Jak nie będziesz słuchać i pilnować owiec, jak się należy, dostaniesz taki plecak i będziesz chodził razem z nimi, nierobie jeden! (tu splunął siarczyście).

Nazajutrz z niskich gór granicznych polsko-rumuńskich wchodzimy na główny wał Czarnohory, stanowiący granicę polsko-czeską. Zaczyna się potężnym Pop-Iwanem, na którego wdrapaliśmy się niestety przy mgłach i chmurach tak, że nie widzieliśmy nic poza końcami własnych nosów i ogromnego triangułu. Ledwie nazajutrz rozjaśniło się nieco, ale przez cały czas naszej wędrówki Czarnohorą rażące oczy, biało-niebieskie chmurki uniemożliwiały wszelkie dalsze widoki.

Jesteśmy obecnie na dachu Karpat. Wzdłuż naszej drogi ciągnie się linja obronna dawnego frontu. Mijamy stare zmurszałe krzyże, napół przerdzewiałe zasieki, łuski od wystrzelonych nabojów armatnich leżą gęsto po rozpadlinach i napół rozwalonych ziemiankach. Obozujemy po stronie czeskiej to znów po polskiej nad brzegami malutkich, ukrytych wśród gór jeziorek.

Aż wreszcie pod koniec naszej czarnohorskiej wędrówki staje przed nami olbrzymia kopa Howerli, trawiasta i nadzwyczaj stroma. Za nią po stronie czeskiej skalisty, owinięty w mgły garb Pietrosula. Gdy po kilkugodzinnej uporczywej drodze pod górę wyszliśmy na szczyt, wzrok nasz uleciał w szarą, niemal bezkresną dal, by oprzeć się o niewyraźne, gdzieś w błękitnej oćmie ginące wierzchołki gór siedmiogrodzkich i na nizinach stanisławowskich.

Nasza wędrówka czarnohorska dobiegała kresu. Czwórka nasza przeszła jeszcze Gorgany, by potem przerzucić się na Zachód i zwiedzić Gdańsk, Gdynię i polskie wybrzeże.

Kiedyśmy rozstawali się, przyrzekliśmy sobie wzajem, że za rok pojedziemy razem na „Jamboree" do Anglji. I dotrzymaliśmy słowa, gdyż słowa te piszę na obozie próbnym wyprawy pod Poznaniem, a jutro wyjeżdżamy do Anglji.

Do licha z temi pokazami.

(Ciąg dalszy.)

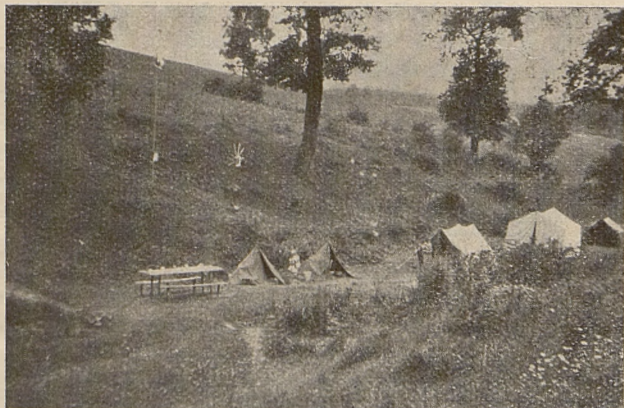
Kamień powoli sięgnął ręką do teczki, wyjął stamtąd gruby, zniszczony bruljon, przerzucił kilka stron i westchnąwszy smutnie zaczął:

— Gdy byłem w Belgji na ulicach prastarej, rzymskiej dzielnicy bohaterskiego Liège'u, ze smutkiem myślałem, że harcerstwo polskie zamało myśli o historji.

Nie kultywujemy tradycji, ze łzami więc w oczach pisać zacząłem we wspomnianym Liège'u dramat historyczno-harcerski. Właściwie nie, historyczno-harcerski, a kinematograficzno-pawełkowski. Bowiem wzrorowałem się na indyjskim dramacie Pawełka, umieszczonym w „Młodej drużynie". Wiecie, jak to jest?
Ktoś uroczystym głosem nazywa poszczególne sceny, „muzyka" gra odpowiednie melodje, „aktorzy" zaś mimicznie odtwarzają tragizm dziejowych wypadków. Dramat mój nazywa się: „Krak". Jest w 3-ch aktach. Oto treść.

To mówiąc rozłożył na stole otwarty bruljon, a harcerze, zbliżywszy się doń, przeczytali:

„Krak". Dramat dziejowy w 3-ch aktach.



Fot. Jadw. Laszczkówna.

Obóz harcerek z Mikołowa na Buczu.

AKT I.

1. W kraju Wiślan żył potężny książe Krak — muzyka „gra" poloneza. (Krak wchodzi na scenę. Spaceruje zadumany, siada.)
2. W zamku króla ciągle trwały zabawy — „Podkóweczki dajcież ognia!"...
   (Wbiegają harcerze i tańczą.)
3. Ale król był smutny. — „Tam za lasem wołki moje".
4. Bowiem straszny smok pożerał jego poddanych. — Trąbki alarmowe. (Wpadają przerażeni posłowie i opowiadają złe nowiny.)
5. Krak przysięga zniszczyć smoka. — „Na barykady".
6. Dwaj synowie królewscy obiecują wyręczyć ojca. — „My, wierne siostry dwie" — melodja z „Tysiąca dziewcząt".
7. Krak błogosławi synów na walkę — „Madelon". (Po błogosławieństwie wychodzi wraz z dworem.)
8. Bracia szykują się do boju: „Precz, precz smutek wszelki".
9. W drodze dochodzi do strasznej kłótni. — „Idzie żołnierz borem lasem"; potem „Bracia do boju nadszedł czas".
10. Brat zabił brata — „Z dymem pożarów".
   (Po zabójstwie, morderca wynosi ciało brata i chowa w lesie.)

AKT II.

1. Straszna wieść. — „Hej te góry, twarde mury".
   (Krak z dworem wchodzi. Po chwili wpada, zataczając się, morderca. Wyznanie.)
2. „Idź precz, wyrodny synu! — „Co tam marzyć o kochaniu".
   (Za wypędzonym synem wychodzi zafrasowany dwór. Krak zostaje sam.)
3. Na dwór Króla przybywa kupiec arabski — „Salem alejkum".
4. Kupiec opowiada o dziwach wschodu. — „Allach jest pan".
5. Pokazuje cudowny wynalazek — siarkę. — „Rynek w Persji".
6. Eureka! — „Siekiera, motyka, piłka, kleszcze!".
   (W mózgu Kraka błysnął szczęśliwy pomysł, uradowany ściska kupca i w podskokach obaj wybiegają.)

AKT III.

1. Gdy ziemię otuliła noc — „Idzie noc"
   (Krak przyczaja się.)
2. Potwór wyłazi na żer — „Taniec w górach" — Griega.
   (Potwora stanowi długi rząd pochylonych chłopców, trzymających się za pasy i przykrytych kocami; łeb — wyprostowany największy chłopiec, z wielką maską; potwór posuwa się jakgdyby w skrętach.)
3. Podstęp — a) Ciche, powolne gamy (Krak podrzuca barana wypchanego siarką; smok podpełza, wącha i pożera. Chwilę stoi niezdecydowany.) b) Gwałtowne uderzenie w bęben (Smok wtrząsa się konwulsyjnie.) c) drobne i częste bicie w werbelek (Smok pęka: chłopcy puszczają pasy, gwałtownie rozsypują się i padają.)
4. Tak przepadł smok, jak mija zły sen.
   a) „W mogile ciemnej" (Krak zbliża się, bada.)
   b) „Umarł Maciek umarł i leży na desce" (Wpada tłum. Radość. Podrzucają Kraka w górę. Robią mu rakietę, w której, zamiast „niech żyje" — krzyczą: „Krrraak"). (Tłum na rękach wynosi Kraka).

— Tak, proszę państwa, tak — mruknął Tomek Węgorski, który milczał przez cały wieczór, powodowany wrodzoną skromnością — Nie powiem, żeby ten dramat dziejowy był specjalnie dowcipny i wesoły. Nie obrażaj się Kamień, ale szkoda, żeś pisał w Liègeu'u mając ciężką od podróży głowę. Odbiło się to na dramacie. Odbiło.

— Gdy ktoś mi podobne zarzuty stawiał w Pirenejach — zaperzył się Kamień — reagowałem inaczej. Ale tu, powiem ci krótko, że dowcipny drużynowy, który dobrze zorganizuje orkiestrę (bodaj organki) i na wesoło przejmie chłopców pogodą ich „dramatycznych" ról, a do tego, gdy wytrząśnie prymitywne, przedhistoryczne kostjumy (najważniejsze — by Krak miał brodę i by dobrze urządzić smoka) — może z dramatu być niezły numer.

(C. d. n.)

Co słychać w Harcerstwie?

CHORĄGIEW ŚLĄSKA.

— W niedzielę dnia 6 października b. r. odbył się pierwszy po wakacjach zjazd drużynowych Chorągwi żeńskiej. Na Zjazd przybyło ponad ośmdziesiąt drużynowych i instruktorek. Zjazd otworzyła komendantka Chorągwi dhna Laszczkówna, imieniem Zarządu Oddziału powitała zebrane druhny przewodnicząca Jordanówna. Wysłuchano sprawozdań z obozów i kolonij i omówiono program pracy w roku bieżącym, zwłaszcza projekt wystawy harcerskiej i Zlotu Chorągwi żeńskiej projektowanego w r. 1930. Ponadto wysłuchały druhny wraz z druhami przybyłymi na Zjazd męski referatu dha Tadeusza Strumiłły o ideowych podstawach harcerstwa. Zjazd zakończył się o 5-tej po poł. odśpiewaniem „Wszystko co nasze".

— Tego roku z terenu Chorągwi żeńskiej wyjechało na obozy, kolonje i kursy 80 druhen — obozów i kolonij odbyło się 31. Znowu więc zrobiłyśmy krok naprzód w porównaniu z rokiem ub., w którym było 24 obozów i kolonij z 464 uczestniczkami.

— Komenda Hufca żeńskiego w Katowicach organizuje świetlicę, bibljotekę i warsztaty dla dziewcząt pracujących, we własnym lokalu przy ul. Szafranka („domek pod blachą" czyli barak blaszany) w Katowicach. Ze świetlicy mogą korzystać uczenice szkół zawodowych i dziewczęta pracujące, a także uczenice najstarszego rocznika szkół powszechnych. Zgłaszać można się codziennie od 2—4-tej.

— Po wakacjach powstały nowe drużyny żeńskie w następujących miejscowościach: w Rybniku II-ga drużyna, w Gotartowicach I-sza, w Nowym Bytomiu III drużyna, w Katowicach III-cia i IV-ta drużyna.

— W styczniu b. r. została zorganizowana przez dh. prof. Dobrowolskiego w Miejskiem Gimnazjum żeńskiem I drużyna żeńska na terenie Pszczyny, która rozwija się nader pomyślnie. Liczy 36 druhen, z których 8 przeszło na wakacjach obóz w KOP. w Rokitnie na Polesiu, a jedna kurs dla drużynowych w Buczu k. Skoczowa. Drużyna wydaje w szkole ścienną gazetkę p. t. „Lot harcerek", której ukazało się 4 numery. Rachunki kasowe zamknięto w dniu 30. VI. kwotą 300 zł., w tem 100 zł. otrzymała drużyna na obóz z Wydziału Powiat. od WP. Starosty Dr. Jarosza, za co na tem miejscu składa serdeczne podziękowanie.

— Harcerki z Tych w ub. roku urządziły kolonję w Piwnicznej w stannicy harcerskiej hufców nowosądeckich. W tym roku szkoła w góralskiej wiosce, Koszarzawie dała im schronienie. W dwu klasach szkolnych zakwaterowały się tu nasze druhny, by spędzić kilka dni w pięknej, górzystej okolicy u podnóża Babiej Góry. Przy ofiarnej pomocy opiekunki drużyny p. Wieczorkowej, kolonję prowadziła dh. Cepokówna.

Zrazu ludność miejscowa odnosiła się do druhen nieprzyjaźnie, ale dobre uczynki, śpiew w kościele na nabożeństwach niedzielnych, ognisko, które gromadziło wieśniaków, zmieniły nastrój tak, że żegnano je z prawdziwym żalem. *„Czarny"*.

— Dziesięciolecie Harcerstwa Śląskiego przypada na r. 1930. Ku uczczeniu rocznicy w maju, Zarząd Oddz. organizuje poświęcenie sztandaru w Katowicach, w czerwcu otwarcie szkoły instruktorskiej na Buczu. Chor. Męska przygotowuje od 1—15. VII., Zlot, jakiego jeszcze w Polsce nie było: wszystkie obozy drużyn zostaną zorganizowane w dolinach Wisły i Brynicy, w pobliżu szkoły instruktorskiej na Buczu.

Chor. Żeńska przygotowuje też Zlot, a w listopadzie odbędzie się wielka wystawa harcerska. Ponadto Z. O. wydaje książkę o harcerstwie śląskiem.

— Zjazd drużynowych męskich 6. X. wysłuchał sprawozdania dh. Łowińskiego, kdta Chor., z pracy w ub. r., następnie omówił plan przyszłej pracy, poczem referat o wystawie harcerskiej wygłosił dh. Wierzbiański, o zagadnieniach ideowych na tle wyników ub. lata, w szczególności Zlotu, dh. Strumiłło. Na zakończenie odbyły się ćwiczenia polowe.

— Uczestnicy obradującego w dn. 6. X. Zjazdu drużynowych złożyli przez specjalnie wysłaną sztafetę do p. Wojewody Dr. M. Grażyńskiego następujący adres:

Zjazd Starszyzny i Drużynowych Harcerskich Śląskiej Chorągwi Męskiej obradujący w dniu 6 października 1928 r. w Katowicach, składa Ci, JWP. Wojewodo, a nasz Honorowy Prezesie, najserdeczniejsze podziękowanie za pomoc jaką nam okazałeś w tak ważnym i trudnym dla nas roku 1929.

Głównie dzięki tak wydatnej pomocy Społeczeństwa śląskiego i Twojej JWPanie Wojewodo, byliśmy w możności wysłać najliczniejsze ze wszystkich Chorągwi reprezentacje na Zlot Narodowy do Poznania i Międzynarodowe Jamboree w Anglji — godnie w ten sposób reprezentując Harcerstwo śląskie.

Wdzięczni za tą pomoc przyrzekamy dalej usilnie pracować dla dobra Śląska i Rzeczypospolitej.

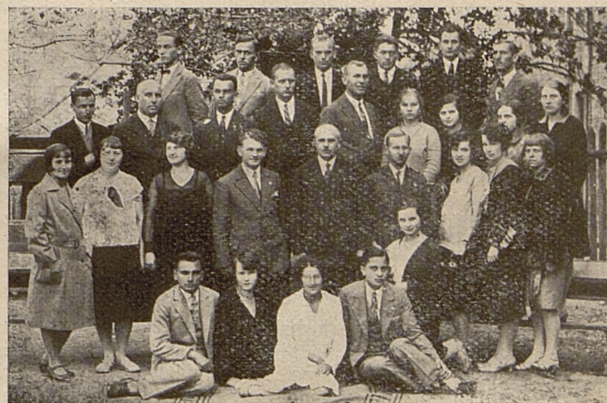
Poniżej podpisy 134 uczestników Zjazdu.

Adres był ozdobiony znakami harcerskiemi przez jednego z miejscowych harcerzy.

— Od 5—11 b. m. odbył się w Katowicach harcerski kurs informacyjny dla nauczycieli szkół powsz., prowadzony przez dh. kdt. Łowińskiego, przy pomocy dhów: oboźnego Karpały, oraz instruktorów: Ryszkowskiego z Warszawy, Bielca, Grzbieli, Wierzbiańskiego, oraz Dhny Przewodniczącej Zarządu, Jordanówny, referentki Kół Przyjaciół i P. Wiz. Dr. Zajączkowskiego, który był łaskaw wyłożyć zasady higjeny i pierwszej pomocy. W kursie wzięło udział 38 uczestników. Na zakończenie odbyła się wycieczka do Bucza.

Nowe drużyny męskie powstały w Ustroniu i Krzyżkowicach pow. Rybnik.

— Męska Chor. urządziła w tym roku 54 obozy z 1.350 uczestnikami. Harcerzodni 21.454. — W Zlocie narodowym wzięło udział 807 harcerzy.



Fot. J. Zieliński.

Harcerski Kurs nauczycielski w Miechowie (w środku insp. Bursztyn, na prawo hm. J. Zieliński).

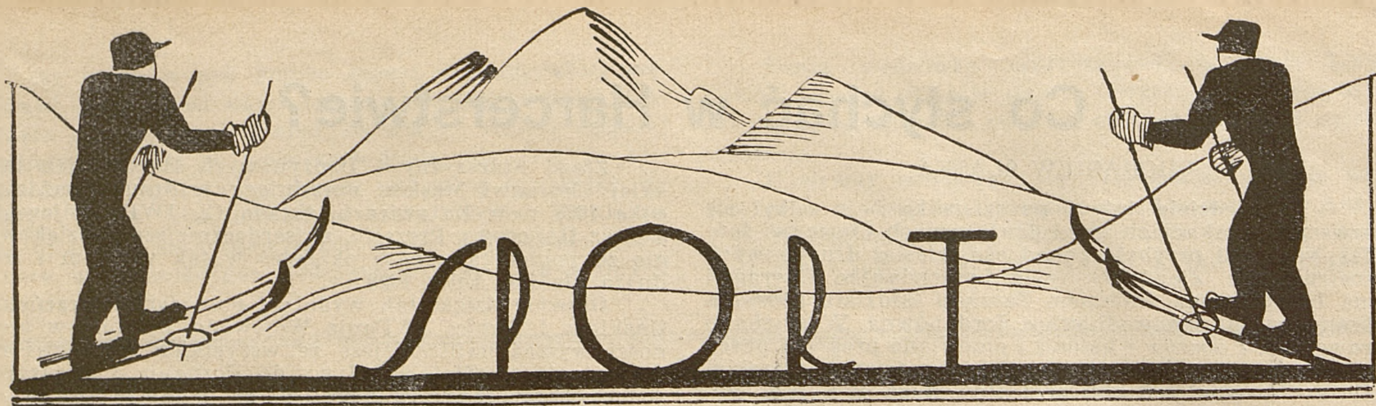
CHORĄGIEW KIELECKA.

— Komenda Chorągwi od 2 lat pracuje nad pozyskaniem dla Harcerstwa możliwie dużego zespołu nauczycieli szkół powszechnych. W tym celu urządza dla nich lotne kursy. Najintensywniej postępuje ta praca w pow. miechowskim dzięki zainteresowaniu harcerstwem p. Inspektora Fr. Bursztyna.

W ubiegłym roku szkolnym sprawa drużyn harcerskich była omawianą na programowych konferencjach nauczycielskich. We wrześniu zaś od 11 do 14 odbył się specjalny kurs dla 13 nauczycielek i 13 nauczycieli, prowadzony przez hm. Jerzego Zielińskiego z Głównej Kwatery, p. o. komendanta Chor. kieleckiej.

Uczestników kursu podzielono na dwie drużyny: męską i żeńską po dwa zastępy. W programie kursu położono nacisk na system zastępowy, oraz na praktyczną stronę wychowania harcerskiego, ćwiczenia zmysłów, gry techniczne i towarzyskie.

W prowadzeniu kursu pomocni byli dh. Janusz W. Kowalski, Pasternak i Brykalski, oraz dhna J. Sokołowska. Stroną gospodarczą zajął się Inspektorat



Zdrowie.

Niema człowieka, któryby nie pragnął szczęścia dla siebie, a szczęśliwy człowiek — to szczęśliwe społeczeństwo, szczęśliwa ludzkość cała.

Niema szczęścia bez zdrowia: gdy ktoś z bliskich chory, choćby dom cały w dostatki opływał — smutek będzie w domu. Gdyś chory — nawet wygrana dolarówka nie sprawi ci wielkiej radości, bo głowa boli, bo operacja będzie, bo lekarz ze smutną odszedł miną.

Zdrowie, zdrowie! — oto hasło, które każdy powinien wypisać na czołowem miejscu sztandaru swego życia i stale dbać o jego realizację!

Zdrowie — to fundament życia, to pierwszorzędna wartość, to najwspanialszy skarb!

Umiemy gromadzić i zbierać złotówki, zawsze staramy się o pomnożenie plonów, ale nie zawsze, a prawie nigdy nie gromadzimy i nie pomnażamy celowo zdrowia w sobie samych. Dopiero, gdy zachorujemy — dopiero wtedy biegniemy po lekarza: „ratuj doktorze, ponieważ, kto wie, może kostucha za drzwiami stoi", ale taka troska o własne zdrowie jest zbyteczna, a czasami — zapóźna.

O zdrowie należy dbać nietylko wtedy, gdy zacznie szwankować, lecz przedewszystkiem wtedy, gdy kwitnie i ładnie się rozwija.

Człowiek prawie nigdy nie jest zadowolony ze swego stanu posiadania i zawsze pragnie ulepszeń — tak samo winno być ze zdrowiem: nigdy nie mamy go zadużo, bo, jeżeli jesteś tak zrdów, że nie obawiasz się przeciągów, to jednak niemasz jeszcze takiego zdrowia, byś nie obawiał się zaziębienia, gdy spocony na mróz wyjdziesz.

Zdrowie należy pomnażać i stale dbać o jego zachowanie.

Maszyna parowa, bach! i człowiek.

Wszyscy znają lokomobilę, co młockarnię porusza, lecz nie wszyscy wiedzą, co się działo w Bolimówce, gdy pan Alojzy, łapczywy grosza, młócił wszędzie i zawsze pod pełną parą, a nie wszędzie i nie zawsze smarował rozmaite części maszyny: w jednym miejscu zapomniał naoliwić, w innem — zreparować, jeszcze w innem — parę wypuścić. I co się stało? Ano, nic wielkiego: oto raz, gdy dobrze sobie podpił, obciążył lokomobilę do niemożliwości i — i kocioł się rozleciał! Krzyknął „baaach!" i rozleciał się (kocioł, a nie pan Alojzy). Zamiast służyć kilkadziesiąt lat, lokomobila pana Alojzego służyła zaledwie dwa lata.

Może to bajka, może to inaczej było — mniejsza z tem, dość, że morał z tego opowiadania taki, iż, jeśli, czytelniku, obciążysz swoją lokomobilę: serce, płuca, wątrobę, nerki, żołądek zbyt wielką ilością pracy, to — twój kocioł pęknie, a w najlepszym razie zachoruje i będziesz jęczał na łożu boleści: „Oj, boli! oj, boli!

Więc jednem z naczelnych haseł zachowania zdrowotności będzie nieprzemęczanie organizmu.

Zbyt wielka ilość pracy umysłowej odbija się ujemnie na nerwach człowieka, staje się on wtenczas coraz więcej wyczerpanym, a każdy drobiazg razi go, często gniewa, smuci lub nawet złości. Drobiazg, nad którym poprzednio nie zastanawiał się ani chwilki.

Zbyt wielka ilość pracy umysłowej odbija się ujemnie na fizycznym rozwoju człowieka. „Mól książkowy" przy byle ruchu ciężko zipie, nigdy nie dozna rozkoszy wycieczek pieszych, boć przecie za żadne skarby nie wdrapie się na Howerlę, Babią Górę lub na Gewont.

Tak. Praca umysłowa może doprowadzić do cherlactwa nerwowego i fizycznego.

To samo zresztą można powiedzieć o nadmiernej pracy fizycznej, gdyż ten, który wyłącznie zajmuje się ćwiczeniami cielesnemi bardzo często ma wąski światopogląd, a co więcej — często jest niedorozwiniętym umysłowo.

„Tu autor buja" — pomyśli zapewne niejeden z czytelników, stawiając przed oczy swoje jakiegoś atletę cyrkowego, co podkowy łamie, żebra innym gniecie i prawie nigdy łopatkami nie dotknie ziemi: „przecie to obraz zdrowia, a on pisze, że wyłącznie ćwiczenia cielesne mogą degenerować człowieka!" Gdyby nie było badań lekarskich, statystyk i sekcyj zwłok, nie potrafiłbym przekonać nikogo, że nadmierne ćwiczenia cielesne nietylko odbijają się ujemnie na rozwoju umysłowym jednostki, lecz powodują również zaburzenia wyłącznie fizyczne, choroby i inne niedomagania natury cielesnej.

Ten atleta cyrkowy, którego widzieliście wczoraj zmagającego się ze zwinnym murzynem, jest podobny do bogacza, któremu wszyscy zazdroszczą posiadanych skarbów, a któryby z radością oddał wszystko za pogodny uśmiech zdrowego człowieka, bo cóż mu po skarbach, kiedy serce ma chore, kiedy każdej chwili nastąpi nagły koniec.

Atleta cyrkowy, ćwiczący cały dzień, ma duże bryły mięśniowe, lecz prawie z reguły ma rozszerzone od nadmiernego wysiłku serce i już w 30—35 roku życia jest niezdolny do większej pracy fizycznej. Również często ma rozedmę płuc. Wogóle atleta cyrkowy nie jest tym, za kogo my go uważamy — prawie nigdy nie jest człowiekiem zdrowym.

To samo można powiedzieć o robotniku, siedzącym przy swoim warsztacie pracy, o kanceliście, stale pracującym przy biurku i o wielu innych ludziach.

Dlaczego tak jest? — można zapytać, a odpowiedź będzie bardzo prosta i bardzo krótka: każda jednostronność jest szkodliwa.

Człowiek, który chce zachować zdrowie, nie może być zajęty wyłącznie pracą umysłową, jak również nie może całe życie kręcić korbą swego warsztatu — musi wszechstronnie rozwijać się, gdyż inaczej marnieje, albo nadmiernie, a więc szkodliwie, się rozwija.

Jeżeli organizm nie będzie ćwiczony, albo jeżeli zaniedbaną będzie jakakolwiek jego część, napewno zacznie niszczyć się, marnieć, a nawet zanikać. Jaskrawym przykładem tego będzie wzięta w łupki ręka (szedł, pośliznął się, złamał rękę), to po kilku tygodniach przebywania ręki w łupkach, a więc po kilku tygodniach całkowitego bezruchu, zdejmujemy łupki i widzimy, że ręka „schudła", mięśnie bardzo słabo się kurczą, ręka niema siły.

To samo można powiedzieć o sercu, płucach i t. d. Serce niećwiczone często pokrywa się tłuszczem i najlżejszy wysiłek powoduje wielkie zmęczenie, a płuca niećwiczone łatwo ulegają chorobom, szczególniej zarazkom gruźlicy.

By zachować zdrowie, trzeba harmonijnie kształcić swoje ciało, które jest podstawą naszej szczęśliwości, ponieważ przez ciało otrzymujemy wrażenia, powodujące szereg przyjemnych czy nieprzyjemnych wzruszeń.

Dla zachowania zdrowia istnieją dwie nauki — higjena i wychowanie fizyczne, dla ratowania zagrożonego zdrowia istnieje trzecia nauka — medycyna. W obecnych czasach staruszka medycyna wyciągnęła dłoń do swojej córki, higjeny, która ze swej strony trzyma mocno za rączkę, stawiające pierwsze kroki wychowanie fizyczne, tak we trzy — babka, matka i córeczka — chcą ludziom nieść to, co jest i będzie fundamentem życia i zdrowia.

Zwinny Tur.

ROZRYWKI.

Nadchodzi zima. W kółku rodzinnem, w świetlicach i izbach harcerskich zbierać się będziecie z przyjaciółmi i kolegami. Może kilka przykładów rozrywek uprzyjemni wam długie wieczory.

1. Oczy karnawałowe.

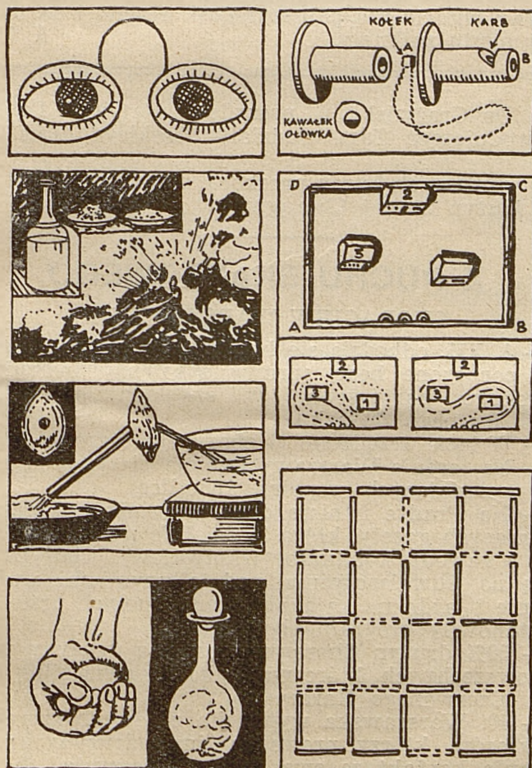
Wiadomo jaki efekt komiczny można wywołać fałszywym nosem. Podobne wrażenie można wywołać fałszywemi oczami.

Wytnijcie z dosyć mocnego kartonu dwa owalne kawałki wielkości łyżki stołowej, zmaczajcie je tak, by dobrze nasiąkły wodą i połóżcie jakgdyby w formie między dwiema łyżkami. Gdy staną się wskutek tego wypukłe, zostawcie na powietrzu, by wyschły (tylko nie przy ogniu!).

Na środku każdego kartonu wywierćcie taką dziurę, by wasze oczy mogły przez nie patrzeć. Dookoła tych dziur narysujcie krążek niebieskiego lub czarnego koloru, lub też, by podnieść efekt każdy krążek innego koloru.

Teraz przymocujcie do kartoników żelazny drucik i załóżcie na nos, jak binokle.

Możecie też jeden z krążków wyrysować nieco z boku.





2. Gwizdek zrobiony ze szpulki.

Potrzebny do tego ostry scyzoryk i jako materjał: szpulka do nici, kołek z drzewa i koniec ołówka.

Zaczynamy od odcięcia jednego z krążków szpulki, potem na środku wałeczka robimy wcięcie tak, by światło dostało się do środkowego otworu. W ten sposób zdobędziemy główną część gwizdka, teraz przystąpimy do urządzenia obu końców.

Otwór A przy krążku trzeba szczelnie zatkać kołkiem z drzewa tak starannie, by powietrze zupełnie tędy się nie przedostawało. Drugi koniec B, przy którym krążek obcięliśmy, musi być zatkany mniej więcej do połowy. Teraz zastosujemy koniec ołówka: dobierzemy taki, który będzie lekko wchodził do otworu szpulki, lecz z niej nie wypadnie. Następnie przecinamy go mniej więcej na połowę tak, by był płaski z jednej strony, i posmarowawszy gumą arabską, umieszczamy we wnętrzu otworu, przy samym brzegu.

Gwizdek skończony.

Gdyby jeszcze nie wydawał pożądanego głosu, należy pogłębić wcięcie na wałeczku, lub posunąć je bardziej nazewnątrz lub do środka.

Obcinamy wreszcie do równości kołeczek, którym zatkaliśmy otwór szpulki, by był zgrabniejszy — albo też kołeczek ten pozostawiamy, a na jego środku przymocowujemy sznurek do gwizdka.

3. Wulkan dla dzieci.

To małe doświadczenie warte jest opisu.

Wiadomo, że pewne ciała chemiczne łączą się z innemi w sposób bardzo łatwy n. p. żelazo i siarka.

Należy zrobić masę złożoną z opiłek żelaznych, siarki i wody, potem zakopać dostateczną ilość tej masy (pareset gramów) na głębokość 40—50 cm. i przykryć otwór ziemią ułożoną w kształcie kopek.

Żelazo i siarka szybko się połącza, wydzielając ze siebie ciepło i za parę minut zasypana ziemia zostanie podrzuconą i rozrzucona na niewielką odległość, jednocześnie przez otwory w ziemi, będą wychodziły opary siarczane. Etna i jej solfatary w minjaturze.

4. Jak zrobić syfon.

W sklepach możemy dostać szklanne rurki z nierównemi ramionami, które służą do przelewania cieczy.

My możemy zrobić sobie sami taką rurkę.

Weźmy pestkę morelową i spilujmy jej boki o kamień do tego stopnia, że ziarno będzie widoczne. Potem należy otwór zaokrąglić zapomocą scyzoryka i wyjąć ziarnko. Następnie wystarczy włożyć do każdego otworu koniec słomy bez zgrubień węzłowych, by syfon był gotowy.

Gdy jednę ze słomek zanurzy się we wodzie w misce, druga słomka znajduje się na zewnątrz, małe wciągnięcie powietrza wystarczy by wprowadzić syfon w ruch i spowodować stałe przelewanie się wody.

5. Trzy studnie.

Koło muru pewnej posiadłości A, B, C, D — znajdują się trzy studnie M, N, O. Mieszkańcy trzech sąsiednich domów 1, 2, 3, otrzymali koncesję na korzystanie z wody w następujących porządku: studnia M będzie dostarczała wody realności 1, studnia N — realności 2 i studnia O — realności 3.

Pytanie polega na tem, w jaki sposób mają chodzić mieszkańcy realności po wodę, by się nie spotykać i nie wychodzić poza obręb muru.

Oto dwa rozwiązania.

6. Czworoboki połamane.

Rozłożywszy 40 zapałek według podanego wzoru, otrzyma się nietylko 16 małych czworoboków, lecz jednocześnie pewną ilość większych.

Policzywszy je dobrze zauważymy, że jest ich wszystkiego 30.

Zadanie: Ile trzeba odjąć zapałek, by nie powstał żaden czworobok w danej figurze?

Rozwiązanie: Trzeba odjąć 9 zapałek. Zapałki oznaczone podwójnie należy odjąć.

7. Jak ubawić się jednem jajem.

Gdy skorupa jajka jest cała, bez śladu pęknięcia, jest na tyle mocną, że wbrew oczekiwaniu, nie można jej rozdusić. Możecie więc śmiało założyć się z kimś trzecim, że pomimo wysiłku nie uda mu się rozdusić jaja w ręce. Zobaczycie jak on odwinie rękaw, by uniknąć splamienia jajkiem, jak będzie wkładał rękę pod szklanny klosz, jak będzie ściskał jaje i wreszcie zrezygnuje z rozduszenia.

Możecie też pochwalić się, że wam się uda wprowadzić jaje do wnętrza karafki, której szyjka jest mniejsza od niego. By to udowodnić, włóżcie zapalony papier do karafki i gdy powietrze przez ciepło będzie dostatecznie rozszerzone, połóżcie na otworze jaje. Pod ciśnieniem atmosferycznem jaje zmieniając formę przeniknie przez szyjkę i upadnie na dno karafki ugotowane na twardo i obrane ze skorupy.

8. Sprytne ułożenie.

Dno okrągłego pudełka może zmieścić 13 pionków warcabowych w ten sposób, że one nie będą mogły się poruszać. Lecz daje się tylko 12 pionków. W jaki sposób powinieneś je złożyć, by pomimo braku trzynastego, one były nieruchome na dnie pudełka.

Po pewnych rozmyślaniach i wielu próbach chłopiec do pakowania postępuje tak: Kładzie jeden pionek pośrodku pudełka i układa dookoła niego inne 11 pionków, jak wskazuje rysunek. 6 dookoła pierwszego, potem dookoła tych 6, inne koło, które też powinno liczyć 6, lecz liczy tylko 5. Widzi odrazu gdzie brakuje jednego pionka, by stworzyć całość, ale może również zauważyć, że gdyby pionek ten był na swojem miejscu, wtedy niepotrzebny byłby ten, który znajduje się pośrodku, by trzymać inne. Sprytny chłopak wyjmuje go ze środka, gdzie już nie jest potrzebny, kładzie go tam gdzie się staje pożytecznym.

Jak to się mówi: Trzeba było o tem pomyśleć.

Mistrz do wszystkiego.

Plamy atramentowe.

— Zosiu! Coś ty zrobiła! — woła przerażona mama.

Zosia, trzyletnia „osoba", patrzy szerokiemi oczyma na mamę, na swoje paluszki usmarowane artamentem i na ogromną plamę na obrusie. Wreszcie stwierdza filozoficznie i z przekonaniem:

— To je bee.

Mama załamuje ręce.

— Co ja z tym nowym obrusem zrobię?

Staś, dwunastoletni skaucik, ratuje jednak sytuację. Porywa serwetę i spłukuje czystą wodą. Następnie zabiera mamie całą cytrynę, wciera sok w plamę i spłukuje znów wodą, powtarzając to kilkakrotnie aż do zniknięcia plamy.

Z tryumfem pokazuje czystą serwetę mamie, która tymczasem biedzi się nad paluszkami Zosi.

— Patrz mamo, właśnie przeczytałem w ósmym numerze „Na Tropie" w kąciku „mistrza do wszystkiego", że plamę z atramentu można wywabić sokiem cytrynowym, albo kwaskiem cytrynowym lub winnym, które można kupić w kryształkach. Najłatwiej wywabia się takie plamy, póki świeże.

Wobec tego mama wzięła jeszcze pozostałą skórkę cytrynową i potarła nią paluszki Zosi, a wnet i na nich ślady atramentu zniknęły. *K. W.*

Kursa letnie śląskiej Chorągwi żeńskiej w r. 1929.

Oto macie na fotografji pozdrowienie sztandaru na kursie dla drużynowych Chorągwi Śląskiej, który odbył się w Wielkich Górkach, „na Buczu", gdzie buduje się harcerska szkoła instruktorska Oddziału Śląskiego, w dniach od 20 czerwca do 10 lipca b. r. Mieszkałyśmy na ślicznej polanie pod lasem, naturalnie w namiotach, własnoręcznie postawionych i urządzonych, a najwięcej cieszyło nas



Kurs drużynowych Chor. Śl. na Buczu.
Pozdrowienie sztandaru.

to, że obozujemy na własnym harcerskim gruncie. Uczestniczek kursu było 31 w czterech zastępach t. j. „Jaskółki", „Skowronki", „Wiewiórki" i „Pszczółki". Prócz tego tydzień spędził na kursie zastęp „Orłów" złożony z druhen, które już kurs przeszły w zeszłym roku, a teraz składały próbę na drużynową.

Kurs prowadziła dhna Jadwiga Laszczkówna, komendantka Chorągwi, mając do pomocy jako członkinie komendy kursu dhny: Kordecką Olgę, Kasprzykównę, Węglarzównę, Jakubcównę i Bielcową. Obok odbywał się równocześnie kurs dla zastępowych prowadzony przez dhnę Irenę Bólównę, przy pomocy dhen: Durkalcówny, Rozwadowskiej i Roehrowej. Oba kursy odwiedził p. wojewoda śląski, Dr Grażyński, p. prezydent Katowic Dr Kocur i przewodnicząca Zarz. Oddziału Śląskiego dhna Jordanówna.

O rezultatach kursu przekona nas dopiero tegoroczna praca drużyn naszej Chorągwi.

Z RUCHU SKAUTOWEGO.

CHORĄGIEW WARSZAWSKA.

— 1. XII. odbędzie się konferencja instruktorska, na której poruszone będą sprawy szkolenia instruktorów, „czerwonego harcerstwa" w szkołach powszechnych i Zjazd Walnego Związku.

— W lecie urządzono 74 obozy. Harcerzodni 52.000.

— Na terenie Warszawy istnieje 11 zrzeszeń starszoharc., posiadających wspólną świetlicę.

— Na Pradze istnieje drużyna, złożona z chłopców, sprzedających gazety, którą b. dzielnie prowadzi dh. Skorupka, z zawodu konduktor tramwajowy. Obóz Drny odbył się na Suwalszczyźnie pod olbrzymiemi szałasami. Pływanie i jazda na kajakach, zbudowanych przez chłopców, stanowiły program obozu.

— 50% drużyn Chorągwi stanowią drużyny w szkołach powszechnych, które napotykają się na silną konkurencję „Czerwonego Harcerstwa".

— 40. Warszawska wypuściła ze swych szeregów 15 instruktorów, którzy prowadzą inne drużyny, przytem utrzymują kontakt ze swą drną macierzystą.

— Ciekawą jest praca drny ociemniałych, którzy chodzą na wycieczki i prowadzą normalne zajęcia. Istnieje również drużyna głuchoniemych.

NACZELNA KOMENDA SKAUTÓW UKRAIŃSKICH we Lwowie nadała prof. Svojsikowi, naczelnikowi skautów czechosłowackich, swastykę wdzięczności oraz tytuł „Dobrodzieja Płastów". W czasie lata przeszło 800 Płastów było w obozach, z tego większość obozowała na Sokole, gdzie Płaści mają własną stannicę.

REDAKCJA „NA TROPIE" (dział harcerski) otrzymuje stale 19 pism skautowych: Harcmistrz, Harcerz, Skaut (Polska), Molode Żyttia (Lwów—Płast), Skouten (Szwecja), Speidern, Lederen (Norwegja), Boys Life, Scouting (Ameryka), Magyar Cserkesz (Węgry), Jamboree (Biuro Międzynarodowe), The Scout, Scouter (Anglja), Le Scout de France (Francja), Speidernes Magazin (Danja), Vudce, Bud Pripraven, Scout Junak (Czechosłowacja), Ugunskurs (Łotwa).

W skład Komitetu redakcyjnego wchodzą: Marja Kapiszewska, Jadwiga Laszczkówna, Jan Grzbiela, Henryk Kapiszewski, Adam Kossowski, Adam Kozaczka, Tadeusz Wąsowicz, Marjan Wierzbiański, Adam Wiliński, Jan Kazimierz Zaremba. Pracą Komitetu redakcyjnego kieruje Marjan Wierzbiański.

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski.
Odbito w drukarni »Czasu« w Krakowie, pod zarządem Leopolda Wójcika.

ZAGADKI.

Rozwiązanie krzyżówki z Nr. 3—4.

KWIECIEŃ ■ OPEL ■ REYMONT ■ PORTUGALJA
O Z S B P I R R Ł K
N T A O T O R A R O N N E U Y U N O C
S E S B A L E K Ę Ś I A N L U P A R E
T L O N N W G S R O M K L N
A E M R I E A I T T O W P A W O P Ę T
N S I Y S O S R E A R C A I D I W A T O
T K E L Ł K A J R L A Z C R U R A R A W
Y O R E A O N U Z A N J A R A T A
NAPRZECIW ■ SUM ■ PROTESTANT ■ TRYSKAĆ

Jako nagrodę bezpłatną prenumeratę Nr. 5–11 drogą losowania otrzymał W. Murczyński z Krakowa.

Nowe zagadki.

Przysłowia.

(Zb. Preiss — Kraków).

1. — a — — — a — ie — — — a — e, — a — — u — a — e — — i — — a — e.
2. — o — i — — i — —, — o — ie — — i i — i — — a.
3. I — — a — e — — — a —, — e — — ię — ej — — — e —.
4. — ie — — o — e — o — ą — — i — ie i — ą — a — e — o — ą — — i.
5. — — e — — — a — a — o — a — a. — e — — a — a.
6. — o — - u — a — o — ę — — ię — o — — y.
7. — y — — — a — o — — ią i — — a — ą — u — — ie — ię — o — a — ą.
8. — — ó — — i — o — u — — — ó — — i.
9. — ie — o — a — — e, — o — a — — e, a — e — o, — o — ię — o — u — o — o — a.
10. — — u — — — u — o — i o — a — ie — y — o — e.

Szarada w zadaniu konikowem.

(Zb. Preiss — Kraków).

na-	×	po-	czę-	na	tyń	wi-	bez	na-	ne.	na-
cie,	to	wet	czę-	ni	naj-	cie	Czwar-	wet	nie-	szych
w po-	noć	ściej	łość	trze-	pu-	świą-	dać	piecz-	re	bar-
nie	je-	te	sty-	ści.	trze-	te,	cza-	dzo	pięk-	ni
czwar-	ście.	Ca-	sze,	××× ××× ×××	××× ××× ×××	××× ××× ×××	nych	do-	sem	wtó-
pi-	żar-	gie,	Pierw-	cie	Pierw-	ży-	ta-	ne, —	a-	bre,
na	nie	co-	ty; —	dru-	wol-	dru-	bę-	boć	go	kar-
śnie;	to	Cej-	gdzieś	sze,	po-	od	tecz-	sów	a-	to
do	tam	ro-	dzień	niech	gie,	ne	ni	dą	ty:	lo-

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 1 grudnia 1929.



Fot. inż. M. Affanasowicz.

Wnętrze Huty.

Czy wiecie?

— Na letnią rezydencję Papież wybrał wille Castel Gandolfo i Basterini w okolicach Rzymu, które będą korzystały z prawa eksterytorjalności. Teren obu will przewyższa obszar całego państwa watykańskiego liczącego 45 ha.

— Rząd meksykański rozpoczyna wydawnictwo propagandowego dziennika w kształcie wielkiego afisza o powierzchni 6 m², rozklejanego w miejscach publicznych.

— Rząd włoski projektuje otwarcie nowego uniwersytetu w poł. Tyrolu, przyłączonym po wojnie do Włoch, by przeciwstawić się wpływom niemieckiego uniwersytetu w Insbrucku.

— W Stan. Zjedn. zaprojektowano budowę gmachu z granitu i marmurów, zakończonego wieżą, wysokości 450 m. Ma to być muzeum relikwij historycznych narodu ameryk. Na szczycie wieży ma się znajdować latarnia o sile 240 miljonów świec, widoczna z odległości 300 km.

— W r. 1928 w Stanach Zjednoczonych złożono dwa i pół miljarda dolarów na cele społeczne, m. inn. zmarły miljoner Payne zapisał pięćdziesiąt miljonów dol. na cele dobroczynne. Powstał uniwersytet Harwarda dzięki tym wspaniałomyślnym fundacjom.

Zwracając się do Redakcji, pisz wyraźnie, tylko na jednej stronie i zostaw margines.

„Na Tropie“ wychodzi raz na miesiąc.

Redakcja i Administracja: Katowice, ul. Szafranka „Domek harcerski“. — Konto w P. K. O. 305.330.

Oddział Redakcji: Warszawa, Chmielna, 26 Tel. 402—33.

Cena numeru 50 groszy. Prenumerata dwumiesięczna 1·— zł., kwartalna 1·50 zł., półroczna 3·— zł., roczna 6·—